WTOREK 30 VI 1981 Nr 76 Cena 1.50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

JAK NA ZAMÓWIENIE WYWOŁAĆ DESZCZ?

ZSRR (PAP). Odpowiedź na to pytanie od lat dręczy naukowców całego świata. Próbowali oni „wyczarować" dodatkowe opady przy pomocy m. in. pocisków artyleryjskich i specjalnych rakiet. W przypadku Gruzji, w której dominują tereny górzyste, najskuteczniejszy i najwygodniejszy okazał się... samolot. Jako podstawowych odczynników do aktywnego oddziaływania na obłoki stosuje się granulki kwasu węglowego i kryształki jodu srebra. „Suchy lód" zrzuca się z samolotu przy pomocy specjalnych urządzeń. **(kl)**

Kuracja iście węgierska – pomogła!

WĘGRY (PAP). Kiedy flaming żyjący na obszarach tropikalnych znajdzie się w ogrodzie zoologicznym, jego z natury barwne upierzenie stopniowo traci połysk, blednie, w końcu – traci naturalną barwę. Dzieje się tak – sprawdzono – z powodu braku w pokarmach podawanych tym ptakom w ogrodach zoologicznych odpowiednich składników. A one właśnie decydują o pierwotnej barwie upierzenia.

Pracownicy naukowi ogrodu zoologicznego w Vesprem do pokarmu przeznaczonego dla „swego" flaminga zaczęli dodawać... słodki czerwony pieprz. W ciągu roku flaming zjadł ze smakiem ok. 50 kg węgierskiej papryki, zawierającej wiele witamin i pigmentów, które – okazało się – potrzebne są ptakom do zachowania naturalnej barwy upierzenia. **(kl)**

LEPSZA NIŻ PORZECZKA CZY CYTRYNA

ZSRR (PAP). Naukowcy z Ogrodu Botanicznego Akademii Nauk Łotewskiej SRR wyhodowali nową odmianę róży, której owoce zawierają niewiarygodną wprost ilość witaminy C. Posiadają one znacznie więcej kwasu askorbinowego niż czarna porzeczka i cytryna. Witaminę C zawierają także listki i nasiona róży. W kwiatach natomiast zawarta jest duża ilość aminokwasów. **(kl)**

Bądźmy rozsądni i zaczekajmy na odwołanie akcji

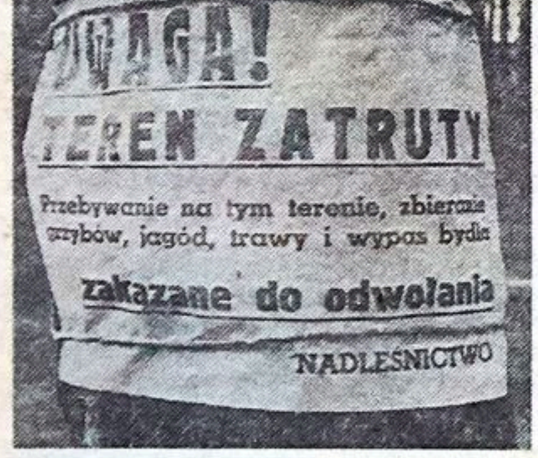

W wielu naszych lasach pojawiły się takie oto ostrzeżenia. Można je spotkać praktycznie na terenie całego kraju. Bądźmy rozsądni i nie zbierajmy na skażonych terenach jagód ani grzybów. Zastosowane przeciw szkodnikom drzew środki chemiczne są groźne i dla człowieka. Poczekajmy na odwołanie akcji owadobójczej i najlepiej nie wchodźmy teraz do oznakowanych napisami lasów!

Fot. **Z. Przybyłowski**

MISTRZ AKORDEONU

KATOWICE (inf. wł.). Dwa wielkie sukcesy odniósł ostatnio uczeń Podstawowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach – 15-letni **Marek Andrysek.** Zdobył on kolejno dwie pierwsze nagrody na Międzynarodowym Konkursie Młodych Akordeonistów w Klingenthal w NRD oraz w Ogólnopolskim Konkursie Akordeonistów w Międzyrzeczu.

Laureat jest uczniem klasy akordeonu prof. Waldemara Nabego – i według opinii pedagogów zalicza się do najzdolniejszych uczniów w szkole. Dzięki rzadkiemu talentowi korzysta ze szczególnego przywileju – indywidualnego systemu kształcenia. Marek, mimo niezwykłych zdolności muzycznych, interesuje się głównie przedmiotami ścisłymi. Sukcesy jakie osiąga w muzyce zawdzięcza swojej pracowitości i wewnętrznej dyscyplinie.

Jak potoczy się jego kariera, okaże się w przyszłości, ale już dziś gratulujemy i życzymy kolejnych sukcesów! **(kk)**

Fot. **Z. Bisanz**

Daj polizać. – Proszę bardzo, ale troszeczkę, bo przeziębisz sobie gardło!

Fot. **M. Zieleniewska**

Wynalazek amerykańskich specjalistów

SZTUCZNA SKÓRA pomoże przy leczeniu NIEWIELKICH OBRAŻEŃ

USA (PAP). Jest ona dwuwarstwową membraną składającą się z przezroczystej, imitującej kauczuk silikonowej warstwy wierzchniej, związanej z porowatą warstwą kalogenową. Skóra jest elastyczna, co zapewnia dobry kontakt między warstwą przeszczepu a powierzchnią uszkodzonej tkanki i zapobiega powstawaniu torebek powietrznych, które sprzyjają infekcjom. Ponadto zapewnia wydzielanie wilgoci na poziomie zbliżonym do normalnego. Chemicznie zadowalającego współdziałania z chorą tkanką. Sprawdza się doskonale na ranach o wielkości paru centymetrów. Gdy jednak rany są większe, przeszczep musi być co jakiś czas wymieniany. Sztuczna skóra poddawana jest eksperymentom w Massachusetta Institute of Technology. **(tok)**

Wyprą ludzi?

W RFN ZIELONE ŚWIATŁO DLA ROBOTÓW

RFN (PAI). Jak nigdzie w Europie rozwija się tu zastosowanie przemysłowe robotów. Oblicza się, że w latach osiemdziesiątych tempo zastosowania robotów na stanowiskach wymagających pracy ręcznej osiągnie około 35 proc. rocznie, co może spowodować utratę zatrudnienia przez kilka tysięcy pracowników. Największym odbiorcą robotów jest firma Volkswagen, która zastosowała już około 400 tych urządzeń w swoich fabrykach. Firma BMW również sięga – po automatyzację i zamówiła w przedsiębiorstwie Kuka 125 robotów za sumę 33 milionów marek. Jest to jedno z największych jednorazowych zamówień w tej branży. **(tok)**

ZABAWA NA DZIŚ

1. Klęknijcie na oba kolana nie opierając się rękami o ziemię. Następnie silnym zamachem ramion oderwijcie się od ziemi i stańcie na nogi. 2. Zróbcie w ziemi mały dołek i wstawcie do niego mocny kij długości około 1 metra. Odstąpcie o krok od dołka i uklęknijcie nie wypuszczając z rąk kija. Wstańcie opierając się rękoma o kij.

REDAKCYJNA POCZTA

Wyjaśnienie nie tylko dla Elżbiety – o tym, jak w redakcji przygotowuje się list do druku

W numerze 38 z dnia 31 marca br. ukazał się w „Kąciku Przyjaciół" mój list, w którym krytycznie oceniłam postępowanie moich rówieśników. Niestety, w liście dokonano skrótów korektorskich (może dla redaktora rubryki nieistotnych) mających brzemienne następstwa. W swoim liście nie pisałam, że „bardzo chciałabym, aby ktoś do mnie napisał", ale tylko „kto zechce korespondować z »wsiową« dziewczyną"! Z tekstu mojego listu „wycięto" zdanie; „Być może nie będę w stanie udzielić odpowiedzi na wszystkie listy, ale poproszę redakcję „Świata Młodych", aby na łamach gazety wydrukowano moje podziękowanie". Te przeinaczenia stały się przyczyną moich kłopotów, gdyż w ciągu niespełna 4 tygodni otrzymałam 5000 listów z kraju i zagranicy. Listy nadchodzą nadal. Osoby, które do mnie napisały wcześniej, przesyłają następne listy pisząc, niejednokrotnie w tonie niewybrednym, że jestem taka sama jak inne, że chcę reklamy itd. Droga Redakcjo, proszę mi uwierzyć, ja naprawdę nie mogę odpisać na wszystkie listy z przyczyn technicznych jak i materialnych (np. tylko na znaczki musiałabym wydać 12 500 zł). Proszę zatem na łamach gazety serdecznie podziękować wszystkim koleżankom i kolegom, którzy do mnie napisali tyle miłych słów. Dziękuję również tym, którzy nie szczędzili słów krytyki. Ponieważ uważam redaktora rubryki za sprawcę moich kłopotów – proszę aby list ten został wydrukowany w „Kąciku Przyjaciół" w całości. Wyrażam nadzieję, że list ten ukaże się w miarę możliwości – szybko.

Elżbieta Kraśkiewicz

PS. List o podobnej treści wysyłam też do Telewizji Dziewcząt i Chłopców, gdyż nie chcę utracić miana „fajnej dziewczyny", jak mnie nazwano w setkach korespondencji.

OD „REDAKCYJNEJ POCZTY": Spełniamy Twoją prośbę, Elżbieto, i drukujemy list w całości. Utwierdził on nas jeszcze mocniej w przekonaniu, że na Czytelników „Świata Młodych" można liczyć. Lawiny listów nie spowodowało „wycięcia" zdania, ale fakt, że tak wiele dziewcząt i chłopców pragnie zaprzyjaźnić się z Tobą. Zgodnie z życzeniami Czytelników pragniemy nadal prowadzić „Kącik Przyjaciół". Zamieszczając podziękowania wszystkich zakłopotanych dużą ilością otrzymanych listów, musielibyśmy ograniczyć drukowanie nowych adresów. A tego zrobić nie chcemy. Dlatego w Twoim liście, Elżbieto, nie zamieściliśmy podziękowań. Sprawa zawiedzionych nadawców listów do „Kącikowych Przyjaciół" i przerażonych adresatów, którym trudno wygrzebać się spod sterty listów, jest bardzo ważna. Pytamy się więc Czytelników: jak Waszym zdaniem można ją rozwiązać?

Nie masz racji, Elżbieto, że w druku został zmieniony sens zakończenia Twego listu. Dwa ostatnie zdania listu brzmią: „Kto zatem zdecyduje się korespondować z „wsiową" dziewczyną? Bardzo chciałabym, aby ktoś napisał do mnie." Drugie zdanie, dopisane przez nas, precyzuje sprawę, z którą zwracasz się do Czytelników.

Tobie, Elżbieto, i wszystkim Czytelnikom piszącym do nas należą się wyjaśnienia o zmianach dokonywanych w listach zamieszczanych w „Redakcyjnej Poczcie". Bardzo często musimy skracać listy przeznaczone do druku. Gdy liczą kilka czy nawet kilkanaście stronic nie możemy drukować ich w całości. Tak tasiemcowy list musiałby ukazywać się w odcinkach w kilku numerach „ŚM". Dlatego z konieczności decydujemy się na wydrukowanie najważniejszego fragmentu. Pragniemy w „Redakcyjnej Poczcie" oddać głos jak największej liczbie Czytelników.

W listach przeznaczonych do druku często musimy poprawiać całe zdania: pisać je poprawnie po polsku. I cóż z takim listem począć? Wyrzucić do kosza? Szkoda! Odesłać nadawcy do poprawki? Niegrzecznie, a poza tym nie wiadomo czy i kiedy wróci. Trzeba więc uruchomić redakcyjne ołówki i poprawiać. (dś)

ZMIANY NASTĘPUJĄ JEDNA PO DRUGIEJ

Chodzę do VII klasy szkoły podstawowej. Mieszkam w niedużym miasteczku na terenie woj. białostockiego. Mam młodszego brata rodzonego i dwie siostry cioteczne. Brat chodzi do II klasy szkoły podstawowej. W rodzinie jest nas pięcioro, ja, brat, mama, tata i babcia.

Mama pracuje w miejscowym szpitalu jako pielęgniarka. Tata pracuje w innym szpitalu jako salowy. Babcia jest na rencie.

Nasze miasteczko nie jest zatrute spalinami. Jest w nim dużo zieleni, są wysokie stare drzewa. Drzew jest u nas dużo, rosną obok łączki, która znajduje się obok naszego domu, rosną wzdłuż ulic co sprawia wrażenie spokoju. Kolegów mam dobrych, są życzliwi i można na nich polegać. Życie szkolne płynie spokojnie, nie ma u nas żadnych ważnych wydarzeń. Na przerwach rozmawiamy o wszystkim począwszy od rybek w akwarium a skończywszy na rowerze. Czasami na szkołę napadnie jakaś mania (tak to nazywamy). Ostatnio była mania gumowa wtedy wszyscy strzelają z gumek.

Po przyjściu ze szkoły jem obiad, odrabiam lekcje i jeśli starczy czasu wychodzę na podwórko. Kiedy pada deszcz czytam książki lub oglądam telewizję. Kiedy jest jakiś dobry film idę do kina, najbardziej lubię filmy SF lub wojenne.

Kiedy są wakacje zostaję w domu, gram z chłopcami w piłkę lub w tenisa stołowego. Poza tym kleję modele samolotów i czytam książki.

Do szkoły idę około 8–10 minut. Wydaje się, że tak niedawno zacząłem chodzić do szkoły. Szedłem wtedy obok starych drewnianych płotów, za którymi były prywatne ogródki. Od tamtej pory zmieniło się wiele. Na miejscu starych płotów i ogródków stoją teraz ładne domki jednorodzinne, rozbudowuje się nowe osiedle mieszkaniowe. Zmiany następują jedna po drugiej. Zbudowano ciepłownię, doprowadzono wodę, zbudowano supersam, co stanowi znaczne ułatwienie dla mieszkańców. Zmiany zachodzą tak szybko, że się nie chce w to uwierzyć.

Nie wszyscy moi koledzy są tacy jak powinni być. Myślą, że tylko oni są na świecie i że tylko oni się liczą. Kiedyś przyjechało do nas wesołe miasteczko. Do pawilonu gier przyszło kilku starszych chłopców. Widocznie nie mieli pieniędzy, bo po krótkiej rozmowie dwóch najsilniejszych stanęło u wejścia i po cichu zabierali młodszym pieniądze, za które grali na automatach. Nikt nie probował się temu przeciwstawić, bo nikt nie chciał oberwać.

W naszej szkole działa świetlica, jest dobrze wyposażona. Jest tam aparatura do wyświetlania filmów, są magnetofony, jest pianino i różne gry. Świetlica prowadzi koło taneczne, którego dorobek jest prezentowany na apelach poniedziałkowych. Odbywają się w naszej szkole zabawy, ale organizowane są rzadko, ostatnio tylko na Andrzejki. Prawdopodobnie już ich nie będzie, a to źle, bo na takiej zabawie można odpocząć po wielu tygodniach monotonnej nauki.

Szkoła nasza jest przeludniona. Młodsze klasy mają niektóre lekcje na korytarzach. Budynek szkoły jest dość duży, lecz kiedy zrobili z nas szkołę zbiorczą jest o wiele za mały. Sale lekcyjne są dobrze wyposażone odpowiednio do każdej dziedziny nauki. Mamy też harcówkę, ale tam są różne szafy z gazetami pedagogicznymi, jedno biurko i różne totemy od lat nie używane, więc zbiórki odbywają się w domu zastępowego, co jest dosyć kłopotliwe.

Dom, w którym mieszkam jest murowany, parterowy. Mieszkają w nim dwie rodziny nasza i za ścianą ciocia z wujkiem, i dwie siostry cioteczne. Sytuację materialną mamy dobrą, rodzice zarabiają dosyć dużo, by pokryć wszystkie potrzeby. Moim głównym źrodłem dochodów są butelki, które sprzedaję w pobliskim punkcie skupu. Za te pieniądze chodzę do kina lub kupuję sobie różne rzeczy.

Nie zgadzam się i wyrażam głęboki sprzeciw, że niektórzy pragną mieć to co zechcą i to za wszelką cenę, że wykorzystują w tym celu nawet swoje stanowisko, a ten człowiek który pracuje sumiennie i dokładnie, nic z tego nie ma. Nic dziwnego, że się wtedy załamuje, pracuje gorzej i po przejściu na emeryturę ma do wszystkich żal, że nic nie osiągnął. A ten, który brał łapówki, wchodził w „lewe interesy" cieszy się, że udało mu się wszystkich wykiwać. Z tym się nie zgadzam, nigdy się nie zgodzę!

Z kolegami rozmawiamy na różne tematy: o sytuacji politycznej, w której znajduje się nasz kraj, o filmach telewizyjnych lub kinowych.

Dumny jestem z tego, że jestem Polakiem, że mój naród ma tak bogate tradycje kulturalne. Dumny jestem z waleczności Polaka, który potrafił wyjść z ciężkich sytuacji. Oparł się zaborom, rozbiorom, jego ducha nie złamała i nie złamie żadna wojna.

To co się stało w ciągu ostatnich miesięcy, musiało się stać. Jeśli można było tak powiedzieć decydowano o nas bez nas. Moim zdaniem, nie powinniśmy teraz wołać o pomstę do nieba i strajkować, tylko wziąć się do pracy. Jeżeli każdy będzie strajkował, to nikt na tym nic nie zyska, pogłębi się tylko nasz kryzys. Jesteśmy zadłużeni do granic możliwości i ciągłymi przerwami pogłębiamy tylko tę sytuację. Górnicy żądają zmniejszenia czasu pracy i mają rację, górnicza praca jest bardzo ciężka i mają pełne prawo wysuwać takie żądania. Można skrócić czas pracy, lecz można zlikwidować te wolne soboty zostawiając tylko jedną.

Strajk miał być formą ostateczną a jest nadużywany. Strajkami nigdy nic nie osiągniemy. Moim zdaniem, jeśli już strakujemy to możemy produkować, lecz nie dawać na rynek, a kiedy sprawa zostanie załatwiona dać towar na rynek. Wtedy chyba stracimy na tym bardzo mało.

Tomasz

A wydawało mi się, że to silny mężczyzna...

Tego mężczyznę widywałem niemal codziennie, idąc do szkoły. Szedł chodnikiem, zatrzymywał się na jego skraju i przechodził przez ulicę, po czym ginął mi z oczu w tłumie. Nie wyglądał na inteligenta, sprawiał raczej wrażenie, że jest robotnikiem.

W czasie wakacji widziałem go kilkakrotnie. Szedł raźnym, szybkim, sprężystym krokiem, rozglądając się wokoło. Niekiedy pogwizdywał, często zatrzymywał się przed kioskiem z gazetami, ale nigdy ich nie kupował, zawsze tylko papierosy. Odnosiłem wrażenie, że do pracy idzie w wesołym usposobieniu i ten jego pogodny nastrój pozostawał w dużym kontraście z moją ponurą, uczniowską miną.

Po powrocie z wakacji przechodziłem pewnego razu ulicą, po której chodził ten człowiek. Było to chyba pod koniec sierpnia, na kilkanaście dni przed rozpoczęciem nauki. Wtedy, w sierpniu było dużo pochmurnych dni, na niebie gromadziły się chmury.

Mężczyzna szedł wtedy jeszcze szybciej. Nie pogwizdywał, nie rozglądał się już swymi budzącymi zaufanie oczami. Po raz pierwszy prócz papierosów kupił w kiosku gazetę i zaczą ją przeglądać. Zauważyłem, że czytał pierwszą stronę z ogromnymi kolumnami artykułów, opatrzonych ogromnymi tytułami. Potem mężczyzna zwijał gazetę i ruszał w dalszą drogę. Tak było przez szereg dni.

Na przełomie sierpnia i września zobaczyłem go znowu. Jak zwykle przeszedł przez ulicę i kupił gazetę. Tego dnia tytuły były jeszcze większe i jeszcze bardziej rzucające się w oczy. Mężczyzna spojrzał na nie, po chwili zwinął gazetę i po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się szeroko, po czym niemal pobiegł w stronę, w którą codziennie dążył.

Po miesiącu jego twarz znów się zasępiła, spochmurniała, sprawiała wrażenie zatroskanej i niespokojnej.

Potem nastąpiła zmiana w jego regularnych czynnościach. W czasie, kiedy ja powłóczyłem nogami idąc do szkoły, on wychodził ze sklepu spożywczego, znajdującego się obok kiosku. Czasami coś miał w torbie, częściej jednak torba była pusta i wkładał ją po prostu za pazuchę.

Pod koniec roku, było to w grudniu, a może w listopadzie, przestałem widywać go regularnie. Wtedy w ogóle działy się dziwne rzeczy – tramwaje i autobusy jeździły z chorągiewkami, na budynkach wisiały flagi i transparenty. Kiedy chorągiewki znikały, mężczyzna normalnie szedł do pracy.

Potem w ogóle przestałem go widywać, mimo że tramwaje jeździły już bez ozdób. Taki stan był także w soboty, w dni, w które wcześniej wychodziłem do szkoły. A więc nie mogliśmy się ominąć.

Ostatnio znów widzę go na ulicy. Sprawia wrażenie zmęczonego i zrezygnowanego. Dziwię się, bo wydawało mi się, że jest to silny mężczyzna.

Ludwik Sobolewski,

Prysnął mit o bezkonfliktowej młodzieży

ZACZYNA SIĘ COŚ DZIAĆ

Nauka w szkołach średnich rozpoczęła się normalnie – pierwszego września.

– Zaczynamy rok szkolny 80/81 w chwilach napięć i społecznych niepokojów – pierwszy zabrał głos kurator. Jeszcze wspomniał coś o odpowiedzialnej postawie młodzieży, trosce o dobro narodu – słowem zahaczył o parę tych górnolotnych frazesów, tak dobrze nam znanych. Nietrudno było dostrzec na twarzy moich rówieśników ironiczne uśmieszki, będące najlepszym komentarzem tych słów. Zbyt długo słuchaliśmy tego typu wystąpień. Prysnął mit o bezkonfliktowej młodzieży, młodzieży zdolnej jedynie do manifestacji, potulnych chłopczykach biernie przechodzących przez wszystkie fazy ideologicznego „uświadomienia".

Zarzucają nam cynizm, konformizm, brak ideałów. Lecz czego innego można było się spodziewać, jak nie cynizmu w stosunku do zakłamania? Trudno się dziwić, że wybraliśmy właśnie taką obronę. Bezideowość wytykali nam tzw. działacze młodzieżowi, czyli faceci od ideologii. Nie muszę chyba tłumaczyć jakiej ideologii się spodziewali... W szkole można było zauważyć rosnącą temperaturę – po latach stagnacji i szarości zwyczajnych dni. Zaczyna się coś dziać. Po klasie krążą maszynopisy satyrycznych piosenek. To chyba wtedy budziła się nasza godność, jakaś niespotykana dotąd narodowa duma. Wracamy ze szkoły pewniejsi siebie, czując niezwykłość chwili, która nas niespodziewanie zaskoczyła. Przecież nic na to nie wskazywało, codzienna prasa była pełna optymizmu, rozlewała swoją słodkość na wszystkie strony. Nie znałem żadnych konfliktów. I naraz...

A rok siedemdziesiąty – ktoś powie. Dla nas to historia, lecz historia nieobojętna, historia, której nie chciały nam wytłumaczyć oschłe podręczniki – wytłumaczył nam ją sierpień. Jadąc do domu widzę wijące się kolejki – symbol naszej rzeczywistości. Zauważyłem także ludzi stojących pod księgarnią, czekają na wiersze Miłosza... Na ulicach pojawiają się komunikaty „Solidarności", ludzie przystają, połykając łakomie słowa, którym przywróciło się właściwą wartość. Codzienne obowiązki przeplatają się z nadzieją. Jest trudno, lecz nie przestajemy szukać własnego miejsca, właśnie teraz, gdy przez naszą Ojczyznę przeszła niespotykana dotąd fala polskości, która nie pozwoliła nam popaść w rozpacz, lecz wręcz przeciwnie – dodaje nam sił. Wszyscy musimy zadać sobie pytanie.

– Jakie jest moje miejsce? Trudne to pytanie i chyba dzisiaj nie potrafiłbym na nie odpowiedzieć, lecz wiem, że nie wolno mi stać z boku. Starałem się powiedzieć jacy jesteśmy – my młodzież roku 81. Jedno mogę powiedzieć już teraz: cenimy prawdę i otwartość, cyniczni jesteśmy w stosunku do fałszu i zakłamania. Dalszy ciąg dopiszemy sami.

Stanisław Muc (lat 15)

NASZE TROSKI I KŁOPOTY

Jestem najwyższy w klasie, i trochę podobny do dziewczynki. W klasie przezywają mnie Pszenica (do dlatego, że na imię mam Przemek). Mam też przezwisko Strzała, a to się stąd wywodzi, że na nazwisko jest mi Strzałkowski. Moi koledzy uważają mnie za najsłabszego, ale w rzeczywistości wcale tak nie jest. Codziennie trenuję z tatą i osiągnąłem już wcale dobre efekty. Mam 10 lat i chodzę do III klasy w Gminnej Szkole Podstawowej im. Stanisława Wilkowicza w Łącku.

W mojej rodzinie nie mam braci ani sióstr. Mieszkamy w państwowym mieszkaniu. Mój tata jest lekarzem weterynarii, mama nie pracuje, ale z zawodu jest nauczycielką. Tata wstaje o 7-mej rano i idzie do pracy na 8-mą. Z pracy wraca o godzinie 3-ciej po południu. Często jakiś gospodarz zgłasza w nocy poród u krowy. Wtedy tata chcąc czy nie chcąc musi załatwić poród, a kiedy wraca musi już iść do pracy.

W naszym mieszkaniu mam swój własny pokój z umeblowaniem. Często zaszywam się w tym pokoju i czytam. Mam też psa, z którym się często bawię.

Nasza szkoła jest bardzo ładna, ale jest w niej wielu chuliganów, którzy niszczą krany, obdrapują ściany i wyrządzają wiele innych szkód. Ponadto w naszej szkole dzieci robią dużo hałasu i śmiecą.

Idąc do szkoły przechodzę koło drewnianego mostu, który jest na pół zawalony. Mimo to ludzie przechodzą tym mostem, ponieważ większość z nich idzie do pracy właśnie przez ten most. Uważam, że można w ramach pracy społecznej naprawić ten most, szczególnie ze względu na bezpieczeństwo wielu ludzi.

Nasze troski i kłopoty wywodzą się stąd, że w naszej wsi, jak i w całym kraju, nie ma dobrego zaopatrzenia. Mama musi całymi godzinami stać w kolejkach i najczęściej nic nie dostaje. Nasze radości wiążą się z wycieczkami, na które chodzimy.

Co się tyczy izb lekcyjnych, nie wszystkie mi się podobają. W większości z nich nie ma dobrego ogrzewania. W naszej klasie klamka u drzwi się urywa, a regały które przywieziono są do niczego. Już kilka szuflad się zepsuło, nie mówiąc o reszcie. Boli mnie to, że w naszej szkole nie ma sali gimnastycznej. Ćwiczymy na dworze, a w czasie słoty siedzimy w klasie. Chodzimy wprawdzie na spacery, ale te nie są zbytnio urozmaicone. Najczęściej nasze dyskusje są nudne i nieciekawe. Zwykle dotyczą one takich spraw jak: czy rower kolarski jest lepszy od składaka, albo czy Polonez jest szybszy od Fiata. Jestem dumny z tego, że nie opuściłem w roku szkolnym ani jednego dnia nauki. Uważam też za moje osiągnięcie, że zdobyłem szczyt Przehyby, która ma 1240 metrów.

Przemysław Strzałkowski (lat 10)

ZIELONA KSIĘGA PRZYRODY

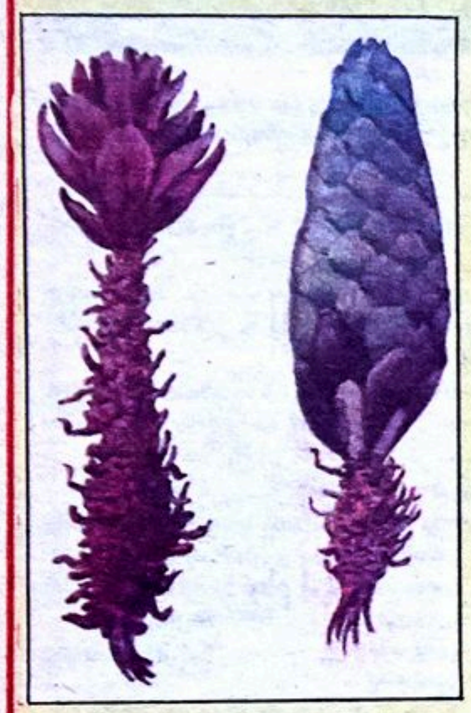

Patrz pilnie na szyszki, ale nie tylko...

◄ Rys. A i B

Niezliczonej ilości informacji o niektórych zwierzętach przebywających w lasach iglastych może dostarczyć bardzo dokładne obejrzenie dojrzałych i ogryzionych szyszek leżących na ziemi. Nasiona szyszek stanowią bowiem pokarm wielu zwierząt, a po sposobach ucztowania uważny obserwator bez trudu rozpozna, kto w tych ucztach brał udział.

Na rys. 1 przedstawione jest kilka takich szyszek, stanowiących resztki po żerowaniu różnych zwierząt. A więc rys. 1 a, b – tu sprawa jest zupełnie jasna, tak obrabia świerkową szyszkę wiewiórka. Dojrzałe nasiona zostały odcięte z łuskami, których leży pełno dookoła. To co zostaje z szyszki, to coś w rodzaju niechlujnie ogryzionego kaczana kukurydzy z pozostawionym czubkiem. Na rys. 1a – szyszka całkowicie dojrzała, objedzona prawie do końca, na rys. 1b – taka, która dopiero dojrzewa, a więc tylko częściowo nadaje się do konsumpcji.

Rys. 1 c – to resztki z obiadu myszy. Zwróćcie uwagę na dokładność „obróbki". Wynika to m.in. z faktu, iż mysz ma po prostu o wiele mniejsze zęby i mniej siły – nie może sobie pozwolić na wyszarpywanie nasion wraz z osłonkami, musi je, chcąc nie chcąc, bardzo dokładnie odcinać. Zupełnie jakby to ktoś robił maleńkimi nożyczkami...

Zupełnie inną metodą pracuje dość rzadki u nas ptak, krzyżodziób. Z pewnej odległości szyszka przez niego spenetrowana wygląda, jak gdyby nikt do niej nie zaglądał (rys. 1 d). Ale bliższe spojrzenie, wyjaśnia wszystko – oto każda łuska jest rozcięta wzdłuż – a nasionko z niej wyłuskane. Podobnie jak świerkowe szyszki, traktowane są sosnowe – o wiele twardsze i modrzewiowe. Na każdym z tych drzew żerują różne gatunki krzyżodziobów: świerkowy, sosnowy i dwupręgowy. Czasami zresztą krzyżodzioby w poszukiwaniu swoich ulubionych nasion drzew szpilkowych wyruszają w dłuższe wędrówki i wtedy nie gardzą innym menu – rozdłubują np. dzikie jabłka i wyjadają z nich ziarnka. Jeśli więc zauważycie takie świeże poszarpane owoce – jest to informacja, że w pobliżu fruwa sobie krzyżodziób. Wypatrzyć go dość trudno, gdyż jest niewielki – ot, wielkości wróbla...

A teraz coś, co na pierwszy rzut oka wyglądać może na efekt jakiejś zabawy.

Oto czasami w załomkach kory dużych drzew, pilny obserwator życia leśnego może zauważyć powtykane różne szyszki. Są one często tak wbite do szpar w korze, że trudno je stamtąd wydłubać. Wszystkie one są poszarpane, łuski mają połamane i pogięte (rys. 1 e). Zwykle pod takim drzewem leży sterta takich samych zmaltretowanych szyszek z wyjedzonymi częściowo nasionami. Ornitolodzy nazywają takie miejsca „kuźniami" dzięciołów. Bowiem te właśnie ptaki, a ściśle jeden ich gatunek – dzięcioł duży – takim sposobem uzupełnia swój zimowy jadłospis. Wklesza szyszkę w szparę kory i dziobem wydłubuje z niej nasiona. Znajdowano również podobne stołówki, w których dzięcioły rozbijały orzechy laskowe. Sam widziałem – niestety tylko na fotografii – taką kuźnię wykutą w pniu wiśni, a w niej wciśnięty i częściowo wyjedzony orzech laskowy. Można by zaryzykować twierdzenie, iż dzięcioł najpierw wykonał imadło, a potem przy jego pomocy obrabiał orzechy...

Kiedy będziecie w lesie starajcie się więc lustrować otoczenie w specjalny sposób, zwracając szczególną uwagę na takie sprawy jak zebrane w jednym miejscu fragmenty owoców i nasion, ogryzione z kory młode pędy drzew i krzewów, odcięte pędy traw, odchody zwierzęce, ślady pozostawione przy wodopojach, na piasku czy grząskim gruncie.

Dla umiejącego czytać, stanowią one prawdziwą księgę leśnego życia...

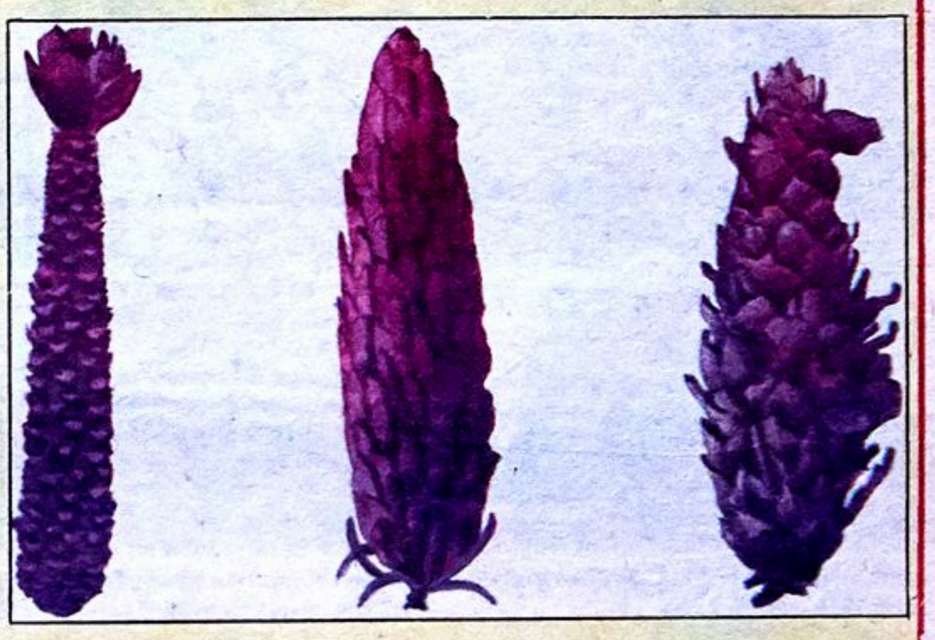

Rys. C, D, E

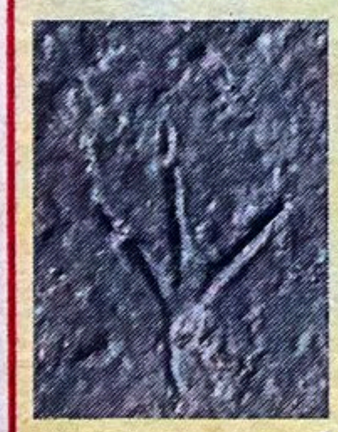

1

4

3

Ptasim tropem

NAD RZEKĄ LUB JEZIOREM

2

Obserwując ptaki wodne lub łowiąc ryby oderwijcie na chwilę wzrok od tafli wody i uważniej niż zazwyczaj spojrzyjcie pod nogi. Mokry piasek i nadrzeczny muł utrwaliły mnóstwo najróżniejszych śladów. Są wśród nich ślady zwierząt, które przychodziły do wodopoju lub polowały na brzegu, są też niezliczone ślady wielu gatunków ptaków. Ślady duże i małe, trój- i czteropalczaste, odciśnięte przez nogi, opatrzone błoną pławną i bez niej.

Największe, bo aż piętnastocentymetrowej długości ślady, jakie można znaleźć na brzegach naszych wód należą do **czapli siwej** (Fot. 1). Jej głębokie czteropalczaste ślady widoczne są często na dnie w pobliżu brzegu. Mniejsze, pospolicie spotykane trójpalczaste ślady z zaznaczoną między palcami błoną pławną pozostawiają **mewy** i **kaczki** (fot. 2)

Długie łańcuszki drobnych śladów takich jak na zdjęciu 3 – to tropy **brodźca piskliwego.** Ten najmniejszy z naszych brodźców w okresie przelotów licznie zatrzymuje się nad brzegami większych rzek. Ślady pozostałych brodźców są bardzo podobne i jedynie trochę większe (długość śladu brodźca piskliwego wynosi 2 cm, a np. **brodźca kwokacza** – 4 cm).

Często na brzegach rzek można znaleźć też ślady ptaków nie związanych tak ściśle ze środowiskiem wodnym np. **wron** i **srok.** Ślady tych ptaków są wydłużone, czteropalczaste, tylni palec jest prawie takiej samej długości jak środkowy, a palce boczne są wyraźnie krótsze. Pojedynczy ślad wrony ma długość 8 cm i jest znacznie większy od drobniejszego śladu sroki (fot. 4) o długości 6 cm. Bardzo wyraźnie w nadrzecznym mule odbijają się też podobne do kurzych, lecz mniejsze (długości 6 cm) ślady **bażanta.**

Zachęcamy Was do uważniejszego przyjrzenia się śladom ptaków. Wiosna, lato i jesień są tak samo dobrym okresem dla ich tropiciela jak zima – szczególnie, gdy można wybrać się nad rzekę lub jezioro. Starajcie się zauważone ślady rysować i fotografować. Być może ze swoich rysunków i zdjęć stworzycie z czasem unikalne i bardzo ciekawe albumy śladów. A jeśli spotkacie szczególnie ciekawe i nieznane ślady – napiszcie do nas!

JERZY ROMANOWSKI
Fot. **autora**

NAL

TE, KTÓRE SIĘ NIE PODDAJĄ

Ech, dokąd odeszły te czasy, o których pisał poeta, iż gdzie nie spojrzeć to wokół „pełne zwierza bory". Niedźwiedzia łatwiej było wówczas spotkać na byle przecince, niż dziś mrówkę faraona w warszawskim wieżowcu... Kurczą się w naszym kraju obszary zamieszkałe przez duże zwierzęta, giną szczególnie szybko drapieżniki, coraz więcej ziemi idzie pod uprawę, autostrady, osiedla, fabryki.

W tym nieuchronnym procesie, jedne gatunki z roku na rok zmniejszają się liczebnie i opuszczają bez oporu zajmowane dotąd stanowiska, a inne jak gdyby nie zauważały, iż środowisko, w którym dotąd żyły, zmieniło się nie do poznania. Dalej żyją sobie w nim, niewiele zmieniając swe, od tysięcy lat obowiązujące obyczaje. Do takich zwierzaków należy piżmak. Wielkością i wyglądem przypomina młodą nutrię lub bardzo dużego szczura. Zamieszkuje nadal i to licznie niewielkie nawet zbiorniki wodne, kopiąc w brzegach nory i wyżerając wodną roślinność.

Bardzo łatwo jest stwierdzić, czy na danym terenie są piżmaki, nawet wtedy, kiedy nie mamy możliwości ich bezpośredniego zaobserwowania. Spójrzcie na zdjęcie wyżej: tak wygląda „stół biesiadny" piżmaków. Jest on zwykle usytuowany na płyciźnie i przypomina coś w rodzaju zatopionego prawie zupełnie gniazda jakiegoś ptaka wodnego. Wszędzie dookoła walają się resztki pogryzionych łodyg oraz mięsistych korzeni wodnych roślin: pałki, trzciny, łączenia baldaszkowatego, jeżogłówki itp.

Jeśli zbiornik jest całkowicie pokryty rzęsą, to obecność piżmaków zdradzają „ścieżki" w kożuchu rzęsy. Zwierzęta są wygodne – pływają stale tymi samymi drogami, nie chce im się przedzierać przez gąszcz splątanych łodyg.

Najłatwiej zaobserwować je w godzinach rannych. Żerują w zasadzie nocą, płoszy je wtedy lada szelest, ale nie światło latarki. Rankiem natomiast, kończą biesiadę i wlokąc za sobą odcięte łodygi, wpływają swoimi „ścieżkami" do nor. Bowiem tam na ogół przesypiają dzień, pojadając co jakiś czas przywleczone zapasy...

JERZY DĄBROWSKI
Fot. **autora**

Kazimierz Robak

„POGORIĄ" PRZEZ ATLANTYK

NA TRAWERSIE PRAWEJ BURTY ROZEWIE

(Od wysłannika Intepress–Sport specjalnie dla Czytelników „Świata Młodych")

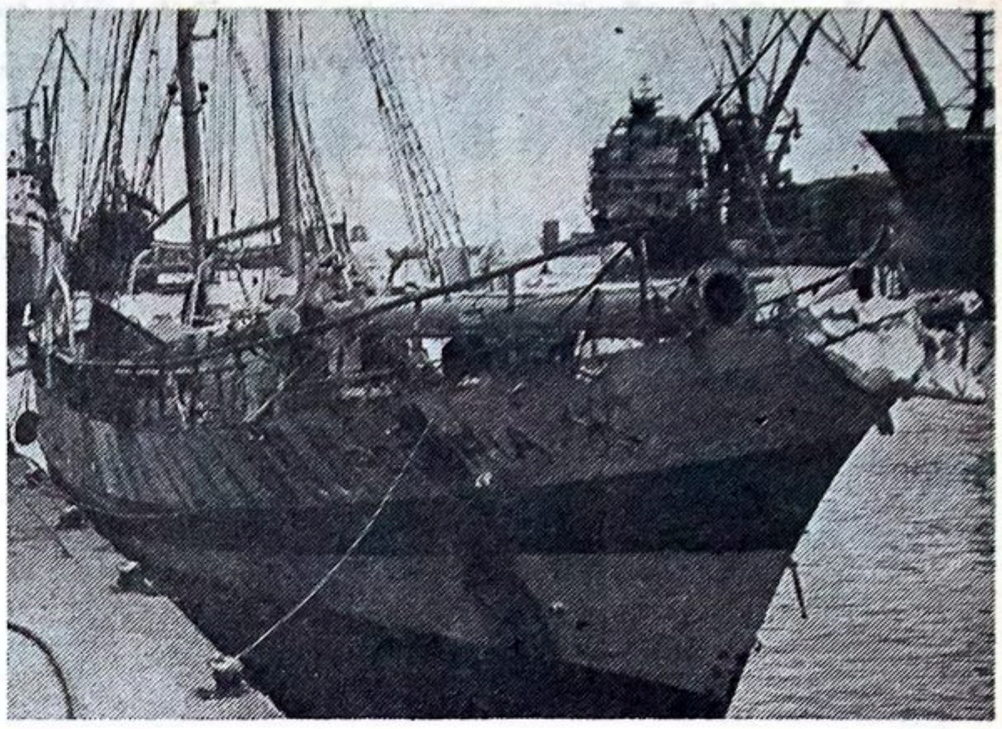

Gdańscy stoczniowcy obiecali, że już wkrótce „Pogoria" będzie jak nowa. W ubiegłorocznej dyskusji na temat przyszłości tego jachtu, zwyciężyło ich żądanie hasło: „POGORIA dla polskiej młodzieży!"

W Cuxhaven staliśmy równo 40 godzin. Postój ten prawie w całości wykorzystaliśmy na prace likwidujące skutki zderzenia i umożliwiające „Pogorii" dalszą podróż. Roboty było rzeczywiście co niemiara: roztaklowanie (a więc usunięcie takielunku czyli olinowania) zgiętego fokmasztu, który należało podnieść z pokładu i złożyć na nabrzeżu, by przystąpić do odkręcania rej, zdjęcia żagli i resztek takielunku. Reje i przecięty palnikiem na dwie części maszt zostały następnie ułożone na pokładzie razem z wyciągniętymi z wody, pogiętymi kawałkami bukszprytu i umocowane mocno linami. Przy pozostałych masztach trzeba zaś było umocnić rozluźnione wanty i sztagi, a na miejsce brakujących założyć nowe.

Łatwo się o tym pisze. A przecież praca na niebezpiecznie chwiejących się na wszystkie strony masztach (pole do popisu dla „komandosów" – Wojtka i Andrzeja), a następnie rozbrajanie leżącego na kei fokmasztu trwała od świtu aż do zmierzchu, mimo że uczestniczyła w tym cała załoga.

Następny dzień (14 kwietnia, wtorek) był dla załogi równie pracowity, choć już po południu wszystkie ważniejsze prace zostały zakończone. Dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie ogrom wykonanej przez nas roboty – przed jej rozpoczęciem nawet najwięksi optymiści przewidywali postój minimum pięciodniowy!

Termin wyjścia ustaliliśmy więc na wieczór. Na pokładzie została wachta, reszta załogi wyruszyła na miasto. Samo Cuxhaven, bez otaczających je mniejszych miejscowości połączonych z nim w całość administracyjną, jest niewielkie (liczy zaledwie 35 tysięcy mieszkańców), toteż „wycieczka" nie trwała więcej niż kilka godzin. Jeszcze tylko jedna zmiana wachty (wachtującym kolegom też się coś należy) i o 20.30 „Pogoria" rozpoczęła ostatni etap swojej podróży. Bez bukszprytu, z dwoma tylko masztami i bez żagli wyglądała jak okaleczony ptak. Ten wypadek nie należał się ani jej, ani załodze, ani kapitanowi, lecz przecież wyroki losu są niezbadane.

Ostatni raz na mostku... Kapitan Krzysztof Baranowski, jego zastępca – Dariusz Bogucki i bosman – Wojtek Fok

Droga powrotna przebiegała bez komplikacji. Cuxhaven leży prawie naprzeciwko Brunsbüttel i zachodnich śluz Kanału Kilońskiego, zameldowaliśmy się więc tam niebawem, jako że o reklamowej wizycie w Hamburgu nie mogło być już mowy. Śluzę wschodnią w Kilonii opuściliśmy z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Przed nami otworzył się Bałtyk.

– No i co, zimno było na tej Antarktydzie? – pytali mnie wszyscy znajomi po powrocie.

Nie! Zimno, tak naprawdę zimno, było przede wszystkim na Bałtyku! I wtedy, w grudniu, kiedy sztormowaliśmy pod wiatr, i teraz w połowie kwietnia, kiedy wzdłuż prawej burty widzieliśmy już polskie wybrzeże, a po twarzach siekł gęsty deszcz śniegowych igieł. Inna rzecz, że teraz robiło to na nas o wiele mniejsze wrażenie.

W nocy z 16 na 17, na horyzoncie zamigotało wreszcie światło latarni morskiej na Rozewiu – znak, że jesteśmy już w domu. Jeszcze tylko okrążenie Półwyspu Helskiego, jeszcze Zatoka Gdańska i oto już przed nami światła główek portu w Gdańsku. W piątek 17 kwietnia o godzinie 05.30 rzuciliśmy cumy przed kapitanatem portu.

– Po raz ostatni jestem waszym kapitanem – przemówił do nas Krzysztof Baranowski – składam zatem oficjalne podziękowanie Wam i statkowi, dzięki któremu przetrzymaliśmy sztormy i najcięższe nawet warunki. Wobec pierwotnego planu, nakreślonego jeszcze przed wypłynięciem z Gdyni, jesteśmy spóźnieni o 10 dni. Wobec korekty, którą musieliśmy nanieść w czasie podróży, przede wszystkim ze względu na oszczędność paliwa, jesteśmy trzy dni przed czasem, przy czym nawet ostatni, najtrudniejszy odcinek nie spowodował żadnego opóźnienia w globalnym terminarzu. Stało się tak przede wszystkim dzięki postawie całej załogi, która wykazała maksimum opanowania, dyscypliny i pracowała absolutnie bez zarzutu. Wobec tego – dziękuję Wam, panowie!

A później na pokładzie pojawili się pierwsi goście, za nimi następni. Powitaniom nie było końca. Jeszcze tylko krótka podróż na stanowisko remontowe w głębi stoczni, rozdanie książeczek żeglarskich wraz z opiniami i rejs ten stał się dla nas wspomnieniem.

Trwał on 132 dni. W tym czasie „Pogoria" zostawiła za rufą 20.820 mil morskich (co w przybliżeniu wynosi 38,5 tys. kilometrów), preszła przez wszystkie strefy klimatyczne i zaliczyła „wszystkie" półkule (wschodnia–zachodnia, północna–południowa). A oto skrótowe kalendarium wyprawy:

1980 – 7 grudnia – godz. 11,00 wyjście z Gdyni;
23–24 grudnia – postój na redzie w Falmouth;
1981 – 2 stycznia – kilkugodzinny postój w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich celem zatankowania wody i paliwa;
12 stycznia – przecięcie równika na 28°55' długości zachodniej;
1 lutego – wejście w Cieśninę Le Maire'a. Na prawym trawersie Terra del Fuego – Ziemia Ognista, na lewym – Isla de Los Estados, Wyspa Stanów. Na kursie Cabo de Hornos – Przylądek Horn! (w nocy, już 2 lutego, zmiana kursu wskutek przeciwnego sztormu. Płyniemy prosto na Wyspę Króla Jerzego;
4 lutego – Cieśnina Nelsona wypełniona górami lodowymi, a zaraz po niej – Zatoka Admiralicji u wybrzeży Wyspy Króla Jerzego i Stacja im. Arctowskiego. Jesteśmy na 62 stopniu szerokości południowej! (dokładne współrzędne stacji: 62°09'45" S, 58°27'45" W).
4–7 lutego – postój w Zatoce Admiralicji;
12–13 lutego – postój w Port Stanley (Falklandy);
15 marca – godz. 01.10 – przecięcie równika na 35°19' W. 99 dzień rejsu.
29 marca – mijamy Azory. Na lewym trawersie widoczne wyspy Flores i Corvo.
9 kwietnia – postój na redzie w Falmouth
10 kwietnia – postój na redzie w cieśninie Solent, na redzie portu Lymington
11 kwietnia – dzień szczególny: – zostawiliśmy za rufą dwudziestotysięczną milę
– przekroczyliśmy południk 0°, więc znów jesteśmy na półkuli wschodniej
– kończymy 18 tydzień żeglugi
– polarnicy zaczynają 18 miesiąc poza domem
– Wojtek „komandos" skończył 31 lat.
– ostatnia (wg planu) sobota na „Pogorii"

Fot. **Jerzy Krug**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Jesteśmy już w Stoczni Gdańskiej. Trzecia wachta niekompletna ze swoimi gośćmi wznosi toast szampanem: „Za ten rejs i... za następny!" Do szklanek nalewa Andrzej Makacewicz, ten z brodą w puchowej kurtce to Wojtek Przybyszewski, zaś brodacz w czapce i okularach – to autor

Zwróćcie uwagę, że wszystkie zdjęcia są prawidłowo wykadrowane i jest zachowana jedność motywu. Są też, co bardzo ważne, „żywe" dynamiczne, dzięki czemu zyskują na atrakcyjności, potrafią przykuć wzrok i być zapamiętane.

PRZEZ OBIEKTYW (10)

Z natury rzeczy, człowiek zajmujący się jakąś dziedziną działalności, woli działać nie sam, a w grupie. praca w grupie daje i więcej przyjemności, i lepsze efekty. Odnosi się to, naturalnie i do Was – fotoamatorów.

Namawiam Was gorąco: jeśli to tylko możliwe – zbierajcie się w grupy!

Macie do wyboru dwie drogi:

albo założyć koło fotograficzne, albo też zapisać się do już istniejącego.

Jeśli twoja szkoła nie ma koła fotograficznego, a jest kilku zapalonych fotoamatorów – skrzyknijcie się.

W jaki sprzęt powinniście się zaopatrzyć? Jeśli koło ma mieć, załóżmy siedmiu, czy dziesięciu uczestników, wystarczy, sądzę, jeden powiększalnik. Warto też zaopatrzyć się w jeden, czy dwa tanie aparaty fotograficzne (najlepiej SMIENY) i – koniecznie! – światłomierz. Uwaga! Koło musi posiadać dobrze zamykaną szafkę do przechowywania sprzętu.

Ważnym elementem pracy szkolnego koła fotograficznego będą wspólne fotograficzne wycieczki, zadania na określone tematy i konkursy: tematyczne, na najlepsze zdjęcie miesiąca itp. Wszystkie zdjęcia robione przez członków koła powinny być poddawane wspólnej ocenie. Wskazywanie błędów i niedociągnięć poszczególnych zdjęć i omawianie sposobów ich unikania w przyszłości powinny stanowić istotny element pracy w kole.

Możecie też zapisać się do już istniejącego koła, pracowni, sekcji czy klubu fotograficznego. Istnieją one w Młodzieżowych Domach Kultury oraz innych placówkach kulturalno-oświatowych.

Zamieszczone tu zdjęcia zostały wykonane przez członków sekcji fotograficznej Młodzieżowego Domu Kultury im. Wł. Broniewskiego przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie. Instruktor tej sekcji, pani Anna Wegner, poprosiła mnie, abym ogłosił, że chętnie przyjmie każdą liczbę nowych członków. Spotkania odbywają się codziennie w godzinach 16,00 – 20,00, każdy fotoamator – uczeń może przyjść i zapisać się.

Czekam na zdjęcia! Podawajcie swój wiek!

WŁODZIMIERZ BARCHACZ

Jeśli ktoś po przeczytaniu tego tytułu zawaha się czy przyznać mi rację, albo wręcz uzna, że to bzdura, już za chwilę zostanie zmiażdżony dowodami nie do odparcia. Przedtem jednak muszę złożyć ważne oświadczenie: nie uważam, aby życie łatwiejsze znaczyło lepsze, a uroda, prezencja gwarantowały osiągnięcie w życiu sukcesu i w ogóle powodzenia. Nie znaczy to jednak, że można lekceważyć wpływ wyglądu zewnętrznego człowieka na zachowanie innych przyjmując, że ważne jest tylko jak człowiek pracuje i co ,,rzeczywiście sobą reprezentuje''. ,,Jak cię widzą, tak cię piszą'' – twierdzili nasi przodkowie i trzymajmy się tego. A teraz czas już, na te ,,miażdżące dowody''.

Nie jesteś sam

PRZYSTOJNYM ŻYJE SIĘ ŁATWIEJ

Przed kilku laty w Stanach Zjednoczonych przeprowadzono eksperyment, który potwierdził istniejące powszechnie przypuszczenie, że atrakcyjny wygląd zewnętrzny oskarżonego ma istotny wpływ na decyzję przysięgłych, jeśli idzie o długość wymiaru kary. Przystojny, dobrze, ale nie pretensjonalnie ubrany, siedzi krócej. Wygląd zewnętrzny człowieka, a zwłaszcza osoby nieznajomej, potrafi w istotny sposób wpływać na reakcję wobec niego, nawet wtedy jeśli oceniany jest dzieckiem poniżej dziesięciu lat. W badaniach przeprowadzonych także w USA opisano szczegółowo różne przewinienia dzieci i poproszono dorosłych, by ocenili ich zachowanie. Okazało się, że poważne wykroczenia, których dopuściły się dzieci ładne, w mniejszej mierze kwalifikowano jako przejawy trwałego zachowania antyspołecznego niż w przypadku dzieci nieładnych.

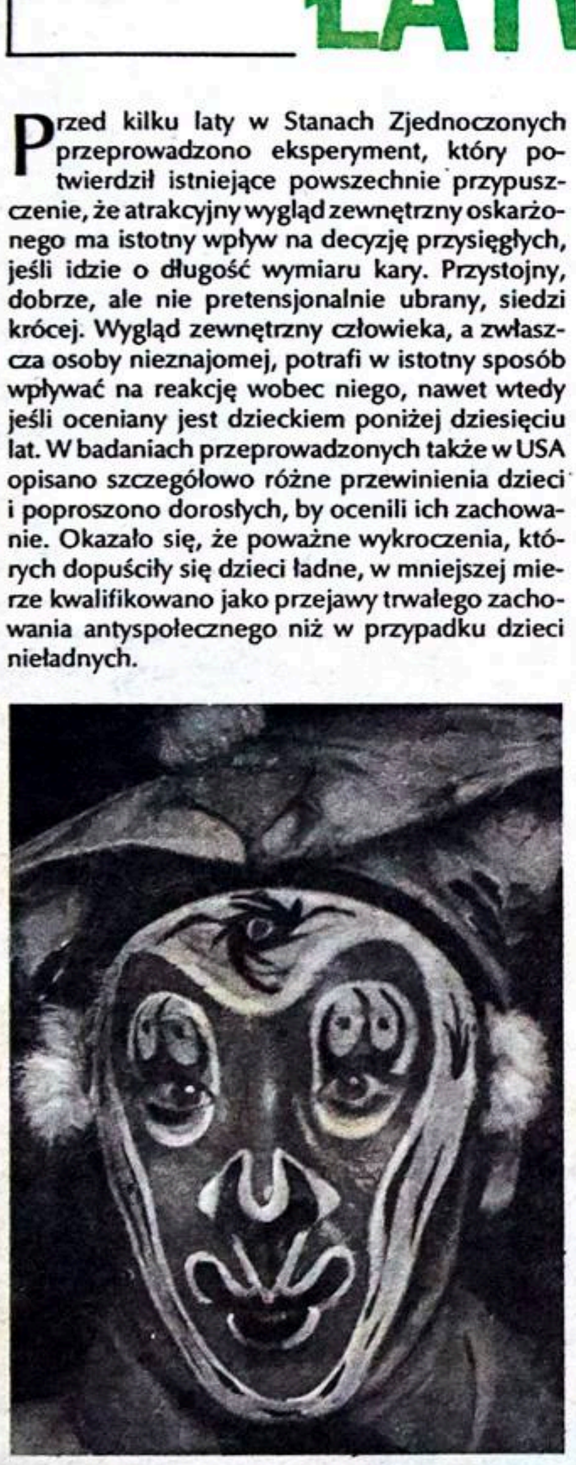

Uroda, strój to tylko jakby maska, jakby charakteryzacja...

Ameryka, Ameryka... a co u nas, na naszym podwórku? Przed kilku miesiącami ukazał się w ,,Redakcyjnej Poczcie'' ,,ŚWIATA MŁODYCH'' list pewnej dziewczyny, w którym skarżyła się ona na samotność. W odpowiedzi napłynęła ogromna ilość listów, których autorzy wyrażali chęć zaprzyjaźnienia się z nią. Było to piękne i wzruszające, ale nie o tym chcę mówić. Otóż we wszystkich przypadkach nadawcy przedstawiali się, ile mają lat, opisywali swą rodzinę, miejsce zamieszkania, szkołę, a w większości listów to ,,przedstawianie się'' poszerzali o opis własnej osoby, oraz prosili o fotografie obiecując w zamian swoją. *,,Nie wiem, czy będziesz chciała się ze mną zaprzyjaźnić, bo jestem trochę gruba''. ,,Chciałem cię uprzedzić, zanim zdecydujesz się na przyjaźń ze mną, że jestem podobno niegłupi, ale niestety brzydki.'' ,,Jestem wysokim blondynem z niebieskimi oczyma, może gustujesz w takich, wtedy łatwiej byłoby się nam zaprzyjaźnić.''* ltd., itd.... a wszystko to razem tylko potwierdza zawarte w tytule tego artykułu, stwierdzenie.

Wygląd zewnętrzny to nie tylko twarz i figura, istnieją jeszcze ,,dekoracje'' takie jak strój, fryzura, broda, okulary itp. To wszystko też gra rolę w ocenie człowieka. Inaczej zachowujemy się w obecności osób dobrze ubranych, a inaczej – źle. Psycholodzy zauważyli np., że więcej przechodniów lekceważyło czerwone światło na skrzyżowaniu, gdy uczynił to przed nimi człowiek dobrze ubrany niż wtedy, gdy prowadzący doświadczenie był ubrany źle. A autostop? Kto jeździ, ten wie, że niechlujny wygląd gwarantuje co najmniej dwukrotnie dłuższe siedzenie w rowie w oczekiwaniu na okazję i że nie będzie to żadna wytworna limuzyna, a ,,Star'' albo ,,Żuk''. A brodacz? Jakie wywołuje wrażenie? Psycholog Ch. Kenny pokazał 60 osobom zdjęcie brodatego mężczyzny, a grupie innych 60 osób – zdjęcie tego samego mężczyzny gładko ogolonego. Ten sam mężczyzna w wersji z brodą został oceniony jako bardziej entuzjastyczny, szczery, hojny, otwarty, męski, ciekawy, silny i... brudny. Zwyczajne okulary też kształtują opinię o nas. Otóż okazuje się, że okulary mają wpływ na ocenę inteligencji nieznanej osoby. Grupa 60 osób oceniała inteligencję kobiet pokazywanych na filmie jako znacznie wyższą w wypadku tych, które nosiły okulary. Tak wyglądały oceny wówczas, gdy każda z kobiet była pokazywana przez 15 sekund, jednak gdy czas ten przedłużono do 5 minut bezpośredniej rozmowy, okazało się, że okulary już nie wpływały na ocenę. I jeszcze raz ubranie. W świetle najnowszych badań naukowych, cytowane jest przysłowie *,,Jak cię widzą...''* w pełni się potwierdza. Oto sfotografowano czterech uczniów i cztery uczennice w czterech różnych rodzajach ubiorów (mundurek szkolny, ubiór niedbały, strój do pracy i strój odświętny). Następnie 30 mężczyzn i 30 kobiet oceniało te fotografie. Wpływ rodzaju ubiorów był wyraźny, bowiem gdy ta sama osoba była ubrana w strój niedbały ocena jej wyglądu była znacznie niższa, niż gdy miała na sobie strój odświętny.

Uroda, strój to tylko jakby maska, jakby charakteryzacja; po prostu ma się te ,,dobre warunki zewnętrzne'' i gra nietrudną rolę pięknej dziewczyny, przystojnego chłopca a ludzie patrzą na nas z przyjemnością. Ale to nie wystarczy do życia wartościowego wśród przyjaciół, do osiągnięcia powodzenia. Trzeba wielu cech charakteru, aby zdobyć ludzkie uznanie, przyjaźń lub choćby sympatię, by móc sobie powiedzieć – nie jestem sam. Czy jest jakaś recepta na zdobycie ludzkiej życzliwości? Oczywiście, że jest – przede wszystkim trzeba być życzliwym dla ludzi. Mieć dobre słowo, uśmiech, umieć wyrazić innym swe uznanie i podziw jeśli na to zasługują; interesować się nimi i to tak, aby czuli, że jest to zainteresowanie płynące z życzliwości. I trzeba ludzi rozumieć, bo nie wszystko co my uznajemy za dobre i słuszne jest takie dla innych. Tolerancja, poszanowanie dla innych niż nasze poglądów – tego nam bardzo potrzeba. I jeszcze musimy umieć dawać. Ważna jest forma – jak i co dajemy i treść – dlaczego dajemy. Jeśli dajemy tylko dlatego, że spodziewamy się rewanżu, to lepiej zróbmy prezent sobie i od razu mamy sprawę z głowy. Dawaniem rządzi jedno prawo: to co dajemy ma sprawić radość obdarowanemu, nie nam. I często cenniejszym darem jest uśmiech, dobre słowo, okazanie współczucia we właściwej chwili, niż bukiety ze sreberkiem i wstążkami. Choć jak powiada trochę przewrotne przysłowie: *,,Nic tak nie umacnia przyjaźni, jak drobne prezenty''.*

Recepta jak widać jest, niestety, nie ma na świecie apteki, w której można by ją zrealizować. Musimy sobie radzić sami, a to nie jest proste...

JERZY KOWALKOWSKI

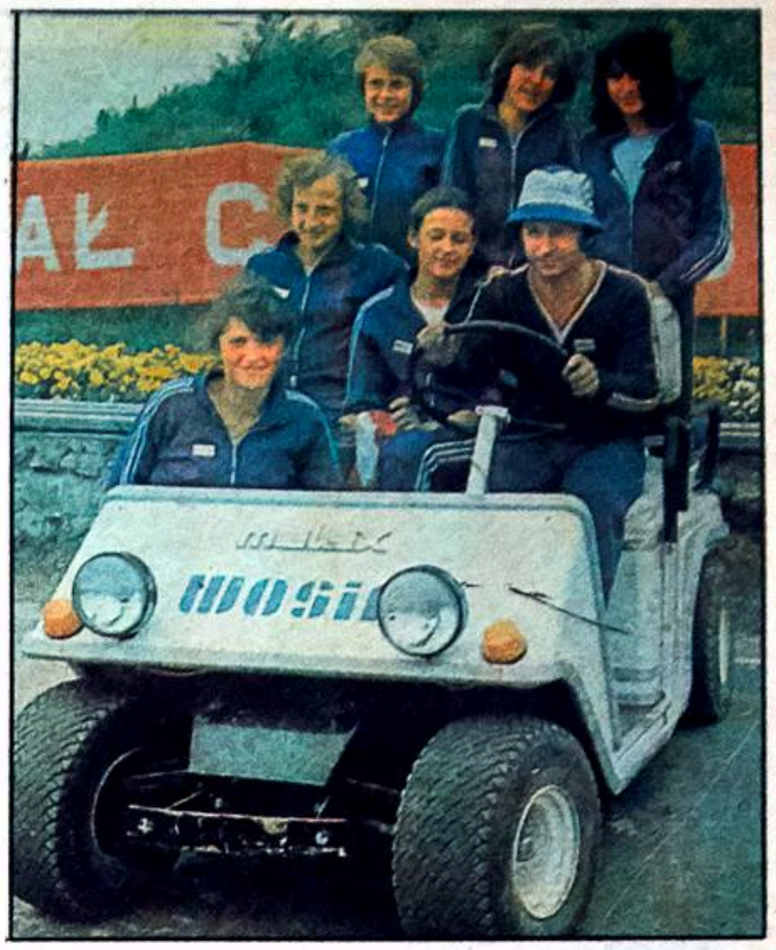

Upał dał się we znaki wszystkim. Ale i tak osiągnięte w Ostrołęce wyniki zadowolić mogą każdego. Bytomianki twierdzą, że do Ułan Bator (na przyszłoroczny finał międzynarodowy) pojadą. Ale chyba nie ,,Melexem''. Tak czy inaczej nasz puchar zdobyły po raz trzeci i... na własność

Krajowy Finał XXVI Lekkoatletycznego Czwórboju o Puchar ,,Świata Młodych''

NIESPODZIANEK NIE BYŁO

To była dobrze przygotowana i przeprowadzona impreza. Ostrołęczanie zrobili dosłownie wszystko, aby przyjezdnym do ich miasta finalistom XXVI czwórboju nie brakowało niczego. A zawodnicy odpłacili się gospodarzom dobrymi wynikami, emocjonującą walką. Jak przewidywaliśmy – w tegorocznej imprezie zaskakujących rozstrzygnięć raczej nie było. Jeszcze raz potwierdziły się rezultaty uzyskane najpierw w zawodach wojewódzkich i później w strefowych. Krótko mówiąc – zwyciężali faworyci. Najlepszym wręczyliśmy nasze przechodnie puchary. Nie znaczy to wcale, że tegoroczni triumfatorzy mają już zagwarantowany udział w przyszłorocznym finale międzynarodowym, który rozegrany zostanie w stolicy Mongolii – Ułan Bator. W myśl od dwóch lat obowiązującego regulaminu o prawie startu w najwyższej rangi imprezie rywalizować musi ponownie sześć czołowych zespołów dziewcząt i chłopców ogólnopolskich zawodów. Eliminacyjne sito czwórboju jest więc niezwykle gęste. I takie być powinno; do grona międzynarodowej elity czwórboju przypadkowo dotrzeć się nie da. To chyba wynika z naszych reporterskich migawek po ostrołęckim stadionie i z załączonych wyników ostatecznych. Tak minimalnych różnic pomiędzy poszczególnymi drużynami dawno nie oglądaliśmy. **Teksty i zdjęcia: Z.P.**

Bieg na 60 m

Najszybsze są dziewczęta z Piły. Anna Jaźwińska oraz Hanna Horych uzyskują po 8,1 sek. Bożena Żeglarska z Płocka, uczennica szkoły, która specjalizuje się w... pływaniu zajmuje trzecie miejsce. W grupie chłopców bezkonkurencyjny okazuje się Jarosław Fugiel – 7,8 sek. Trudno wyłonić wicelidera sprinterskiego dystansu; aż czterech zawodników osiąga czas 8,0 sek. Zdumiewają świetne starty większości zawodników i minimalne różnice na mecie.

Skok wzwyż

Cztery czwórboistki ,,zaliczają'' wysokość 148 cm, dziesięć – 145 cm. Szkoda, że upał daje się we znaki lekkoatletom. Gdyby nie lejący się dosłownie żar mogłoby być jeszcze lepiej. A i tak Robert Chrzanowski ze Śremu skacze 161 cm. Na słowa uznania zasługują chłopcy z Kluczborka (SP 3). Są w tym gronie najmłodsi, mają zaledwie po 10–11 lat. Nie czują respektu wobec roślejszych rywali. Strącają poprzeczkę, ale dopiero na 135 cm. Za rok, dwa mogą stanowić zespół trudny do pokonania.

Rzut piłeczką

Mamy dwa rewelacyjne wyniki. Beata Janicka z Bytomia posyła piłeczkę na odległość 58,54 m. Piotr Kaflak ze Zduńskiej Woli, późniejszy zwycięzca w klasyfikacji generalnej (indywidualnej), ustanawia nowy rekord krajowy – 89,70 m! Tak daleko (prawie) rzucał tylko Andrzej Szczepkowski z Jaworzna. Ale to było 9 lat wstecz. Brawo Piotr!

500 m dziewcząt i 600 m chłopców

Ta konkurencja stanowi najtrudniejszy element czwórbojowych zmagań. Na dodatek ten fatalny upał. Zachodzi obawa, że nie wszyscy wytrzymają kondycyjnie. Płonne niepokoje. Aż jedenaście zawodniczek ,,schodzi'' poniżej 1:25,0 min! Zwycięża Beata Sętowska z Puław z czasem o 1 sek. lepszym. Jarek Szparaga z Radomia (SP 6) wygrywa w grupie chłopców – 2:18,6 min. Przeciętny wynik dla stu dwóch startujących w Ostrołęce czwórboistów wynosi 2:24,2 min. Tego nie przewidzieli nawet najwięksi optymiści.

Klasyfikacja końcowa krajowego finału XXVI czwórboju

ZESPOŁOWA:

Dziewczęta: 1) SP 13 Bytom – 1618 pkt.; 2) SP 4 Piła – 1585; 3) SP 3 Aleksandrów Łódzki – 1575; 4) SP 6 Puławy – 1525; 5) SP 61 Kraków – 1521; 6) SP 21 Warszawa – 1519.

Chłopcy: 1) SP 4 Piła – 1348 pkt.; 2) SP 13 Bytom – 1334; 3) SP 2 Zduńska Wola – 1322; 4) SP 21 Warszawa – 1290; 5) SP 11 Płock – 1253; 6) SP 4 Śrem – 1244.

INDYWIDUALNA:

Dziewczęta: 1) Beata Janicka (SP 13 Bytom) – 358 pkt.; 2) Maria Krajewska (SP 3 Aleksandrów Łódzki) – 351; 3) Dorota Augustyniak (SP 3 Aleksandrów Łódzki) – 344.

Chłopcy: 1) Piotr Kaflak (SP 2 Zduńska Wola) – 355 pkt.; 2) Andrzej Bednarczyk (SP 4 Piła) – 314; 3) Jarosław Fugiel (SP 8 Bolesławiec) – 313.

Chłopcy z Piły też mają powody do radości. Błyszczeli w wielu konkurencjach, ale najjaśniej w klasyfikacji generalnej. Jest to ich pierwszy tak wielki sukces

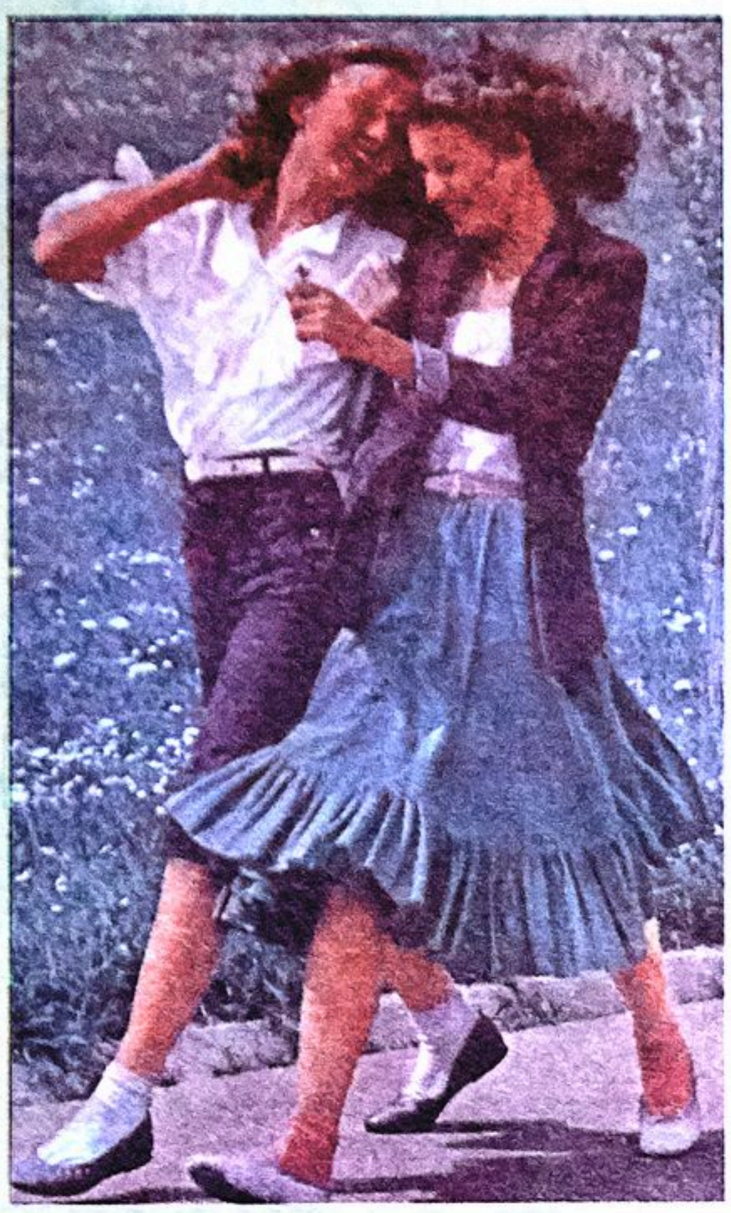

DOM MODY świata młodych

NIE MA JAK SPÓDNICA

I rzeczywiście. Sukienek mogą być tysiące fasonów, spodni i szortów kilka setek odmian, a tak w ogóle, to – nie ma jak spódnica! Ciuch zawsze na miejscu, zawsze pasujący, zawsze wygodny i zawsze modny. Nie mówiąc już o tym, że – zwłaszcza jeśli o letnie spódnice chodzi – stosunkowo łatwy do własnoręcznego wykonania. Nawet w sytuacji gdyby człowiekowi przyszło spódnicę w ręku szyć. No i jak tu spódnicy nie lubić?! Nie sposób wręcz.

Nic więc dziwnego, że spódnice od dawien już dawna zajmują poczesne miejsce w wakacyjnym ekwipunku szanującej się (czyli mającej aspiracje w dziedzinie odzieżowej) dziewczyny. Obecny sezon niczym nie różni się pod tym względem od poprzednich, spódnic jest w nim bez liku. Bardzo zresztą różnych. Od całkiem wąziutkich i opinających się na pupie i udach, do powiewno-falbaniastych. Tych ostatnich (w bardzo wielu zresztą wersjach) jest najwięcej, bo w sumie są one latem najwygodniejsze. Z jednej strony ładnie to wygląda, z drugiej – nie krępuje ruchów.

Najmodniejsze letnie spódnice szyje się zarówno z materiałów gładkich jak i wzorzystych (wśród tych królują wszelkiej wielkości i autoramentu kwiaty, ale mogą być kropki, grochy, paseczki, krateczki czy jeszcze coś innego), ale muszą to być bezwzględnie włókna naturalne. Kreton, płótno, satyna, kora... Jeśli się będzie gniotło, nie szkodzi, taki styl. Ale w ogóle, to teraz wiele lnianych i bawełnianych materiałów wykończonych jest apreturą odporną na gniecenie.

Do tych letnich spódnic nosi się albo bluzki z materiału (często bywają one w tzw. stylu bieliźnianym), albo jednokolorowe bluzeczki-podkoszulki z bawełnianego trykotu. Zestaw z trykotowym podkoszulkiem jest nieco bardziej banalny, zestaw z bluzką uszytą z materiału – bardziej awangardowy. Całość bywa w talii spięta paskiem w kontrastowym jakimś kolorze, plastikowym najczęściej, na klamerkę zapinanym. Strój uzupełniają krótkie skarpetki (element niemal „obowiązkowy" w tym sezonie) i pantofle na całkiem płaskich obcasach.

Przy okazji pantofli. Jeśli natraficie w jakimś sklepie (stoisku) z obuwiem tekstylnym na tenisówki-czółenka (tj. nie sznurowane, ale wycięte), bez zastanowienia się – kupujcie, to jest właśnie „to"!

RIUSZKA

EUROPEJSKI SUKCES KRAKOWSKIEGO ZESPOŁU KAMERALNEGO PSM IM. I. PADEREWSKIEGO

KRAKÓW (PAP). Zdobyli na europejskim festiwalu muzyki odbywającym się w Belgii, I miejsce z wyróżnieniem oraz złoty medal ministra kultury Belgii! Prawdziwy sukces. Na festiwalowy repertuar zespołu krakowskich uczniów złożyły się utwory dawnej muzyki polskiej (A. Jarzębskiego „Nova casa" i anonima polskiego „Symphonia de nativatate") oraz A. Corellego „Concerto grosso" i koncert skrzypcowy f-dur W.A. Mozarta.

19-osobowy smyczkowy zespół kameralny składa się z dwunasto – czternastolatków. Od 25 lat prowadzi go pani mgr Czesława Klimczyk. Wyjazd do Belgii był debiutem na scenie zagranicznej zespołu i przyniósł mu od razu duży sukces. **(kl)**

GWIAZDOZBIÓR

DAVID WARK GRIFFITH
twórca amerykańskiego stylu filmowego

Dwie wielkie gwiazdy amerykańskiego kina niemego Douglas Fairbanks i Mary Pickford – pierwsze swe sukcesy odnosili w filmach Griffitha – reżysera, którego większość najbardziej znanych historyków kina określa jako pierwszego geniusza sztuki filmowej. Jego gwiazda przygasła jednak wyjątkowo wcześnie, bo już w latach dwudziestych, podczas gdy rówieśni mu, Charlie Chaplin, czy De Mille zdobywali coraz większe laury.

Urodził się w 1875 roku w La Grande w USA. Zanim zajął się kinem próbował wielu zawodów: był dziennikarzem, autorem teatralnych dramatów, aktorem w wędrownych zespołach, zadebiutował także jako aktor filmowy w „Orlim Gnieździe". Od 1908 roku był dyżurnym scenarzystą i oczywiście aktorem w wytwórni „Biograph". Zjawił się tu, gdy zawiodły go wszelkie inne nadzieje, po to by zarobić na życie. Nie traktował wtedy jeszcze filmu poważnie. W 1908 roku zaproponowano mu reżyserię filmu „Przygody Dolly" – opowieści o dziecku porwanym przez Cyganów. Długo się wahał. Bał się niepowodzenia i utraty zawodu... aktora. Zaryzykował po otrzymaniu od producenta gwarancji, że nie straci pracy.

Już pierwsze filmy Griffitha były robione staranniej niż utwory innych reżyserów. Był bowiem człowiekiem kulturalnym, oczytanym, świetnie znał się na teatrze i lubił malarstwo. Chętnie przenosił na ekran powieści Tennysona, Browninga i przede wszystkim Dickensa. Właśnie w literaturze odkrył reguły i techniki, które wykorzystane w filmie stały się jego rewolucją. Zreformował system gry aktorskiej, wprowadził zbliżenie (i to nie tylko twarzy) stosował też plan ogólny w otwartym pejzażu, pierwszy raz odcinając się od pudełkowej przestrzeni, naturalnej na scenie, ale jak przyszłość pokazała – niewłaściwej w kinie. Odważył się też na prowadzenie akcji dwutorowej, a jego kamera swobodnie przenosiła się w czasie i przestrzeni. Wprowadzenie tych nowości nie przyszło mu łatwo. Warto, za naszym historykiem kina Jerzym Teplitzem przytoczyć tu anegdotę: „Producenci „Biographu" nie chcieli zgodzić się na zbyt swobodne łączenie obrazów w pierwszej wersji adaptacji filmowej poematu Tennysona „Enoch Arden", która ukazała się w 1910 roku pod tytułem „Po wielu latach". Kiedy Griffith zaproponował, by po scenie przedstawiającej Annie Lee, czekającej na powrót męża, pokazać bezpośrednio Enocha, wyrzuconego na brzeg bezludnej wyspy, producenci sprzeciwili się projektowi, uważając, że widz nie zrozumie związku obu scen. *Jakże można opowiadać w ten sposób, takimi skokami?* – mówili producenci. – *A czy Dickens nie pisze w ten sposób?* – replikował Griffith. *Tak, ale Dickens pisze powieści, a to przecież co innego* – wysuwali nowy argument dyrektorzy „Biographu". *Bynajmniej nie co innego* – odpowiada Gryffith – *przecież film to opowiadanie w obrazach.* (...) Następnego dnia rano postawił „Biographowi" ultimatum – albo wytwórnia zgodzi się na pomysły realizatorskie, albo przyjmie jego dymisję. Rzecz jasna, że w obliczu utraty świetnego reżysera „Biograph" skapitulował i zgodził się na stosowanie dickensowskiej metody w filmie".

W ciągu zaledwie pięciu lat, do 1913 roku Gryffith zrealizował dla „Biographu" ponad 380 filmów. Miał już ukształtowany warsztat, w którym stosował nowe powiązania montażowe, różne systemy oświetlenia, technikę pozwalającą nakręcenie nie tylko tzw. kilkuaktówek, czy nowelek, ale nawet powieści. Miał też do swojej dyspozycji sztab aktorskich gwiazd.

Artysta opuścił jednak macierzystą wytwórnię w 1913 roku protestując przeciwko modzie na przymierze teatru z filmem. Oświadczył, że całą swoją twórczością udowodnił przecież, że te dwie sztuki niewiele mają ze sobą wspólnego. Tak więc najważniejsze swe dzieła zaczął tworzyć już poza „Biographem". Były to pierwsze pełnometrażowe filmy: „Nietolerancja" (3 i pół godziny) oraz „Narodziny narodu" (3 godziny). Oba te dzieła były drobiazgowo przemyślane w szczegółach, ale jedynie w wyobraźni reżysera. W roku 1946 były redaktor „Experimental Cinema" ogłosił drukiem zestaw materiałów na temat filmu „Nietolerancja". Można się z nich dowiedzieć, jak Griffithowi udało się od pierwszego dnia zdjęć do pierwszej projekcji utrzymać tajemnicę na temat tego, co robi wśród wielkich dekoracji w samym środku Hollywood.

„Nie było nawet szkicu scenariusza, nie było niczego na papierze, żadnych zapisków, które mogłyby naprowadzić na ślad treści czy akcji filmu. Gdy tylko Griffith wykoncypował sobie ideę filmu, robił mnóstwo notatek, ale gdy moment rozpoczęcia realizacjji coraz bardziej się zbliżał, począł w wyobraźni tak bardzo zmieniać treść i fabułę, iż tom zapisków uznał za krępujący do tego stopnia, że go zniszczył. W rezultacie „Nietolerancja" – ów najbardziej zaawansowany i kompleksowy film, jaki kiedykolwiek powstał – była filmowana od początku do końca bez odwoływania się do choćby jednej jedynej utrwalonej na papierze notatki." Tajemnicy o filmie nie mogli zdradzić też aktorzy, bo nie mieli pojęcia o koncepcji filmu, grając jedynie pod dyktando reżysera luźne sceny. Prace Griffitha były więc wielkimi świadomymi improwizacjami.

W latach 1916–1918 D.W. Griffith pracował w wytwórni „Triangle", później współpracował z wieloma innymi, aż w 1919 roku powstała sławetna spółka „United Artists", dla której reżyserował: „Złamaną lilię", „Ubóstwianą tancerkę", „Ulicę marzeń", „Dwie sieroty", „Niesamowitą noc" i wiele innych sentymentalnych obrazów.

Historycy kina nie są zgodni w opisie ostatnich lat życia Gryffitha. Z pewnością z tak silną indywidualnością nikomu nie było łatwo pracować. Mówiono o nim, że utracił kontakt z publicznością, zdarzało się nawet że odbierano mu już zaczęty film. Został podobno alkoholikiem i umarł w nędzy. W rzeczywistości przestał pracować w 1931 roku, miał jednak zapewnione skromne utrzymanie. Zmarł w 1946 r. na zawał serca i, co jest pewne, był zupełnie osamotniony. Ale nie zmienia to faktu, że właśnie od tego genialnego twórcy kina film zaczął być nazywany sztuką. **(eb)**

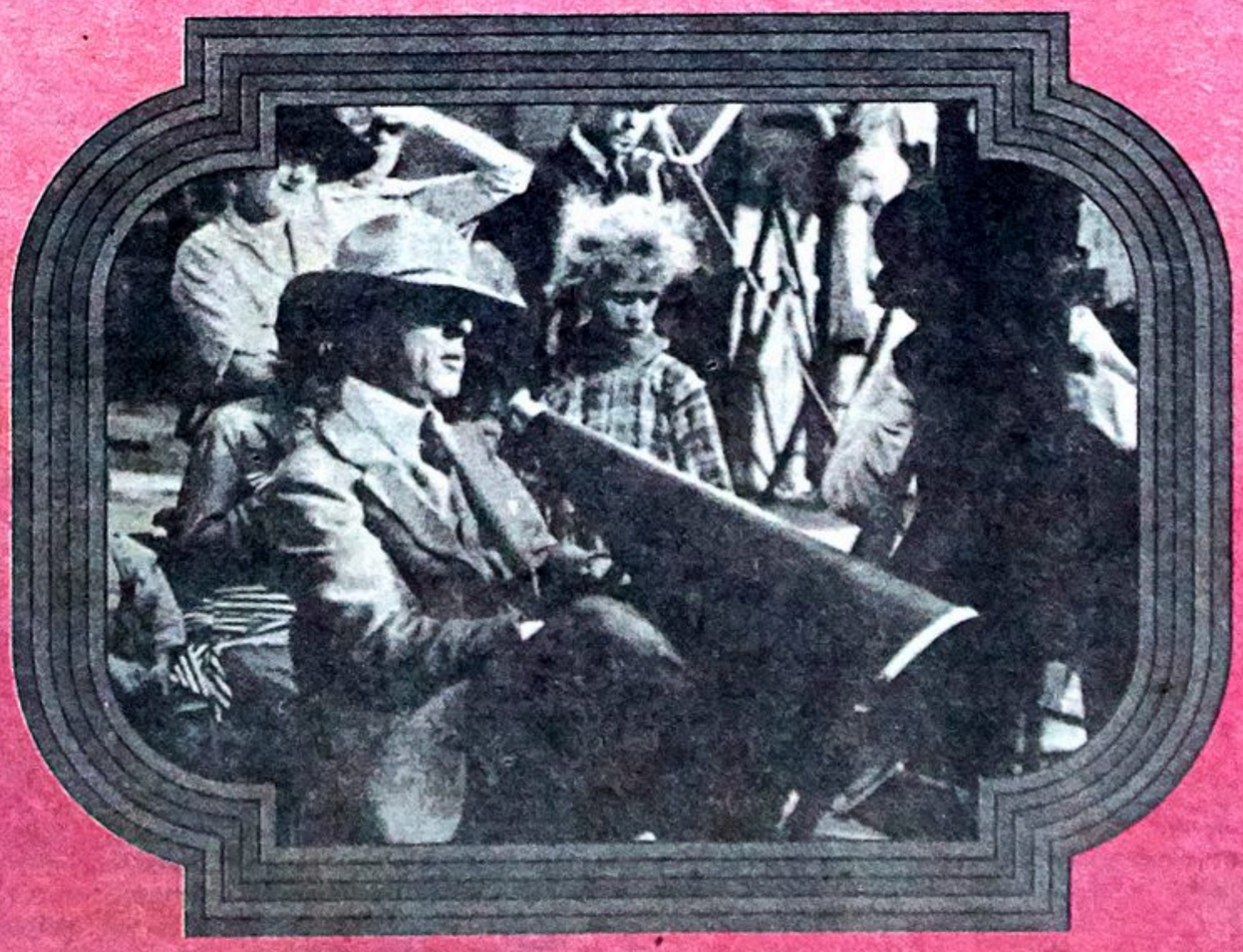

Na zdjęciu Griffith na planie

NA TRAWERSIE PRAWEJ BURTY ROZEWIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

12 kwietnia – godz. 23.18 – wypadek (wg czasu obowiązującego w Polsce jest 13 kwietnia godz. 00.18)
13–14 kwietnia – przymusowy postój w Cuxhaven
17 kwietnia – 132 dzień rejsu. Godz. 05.30 – „Pogoria" cumuje przed kapitanatem portu w Gdańsku. 20.820 Mm.

Podczas pożegnania trudno było oprzeć się wzruszeniu. Nagle nieważne stały się wszelkie zatargi, nieporozumienia, przykrości. Pozostał słony smak morskiej przygody, kolejne – jakże cenne doświadczenia, żal – że przed nami już tylko lądowa codzienność i przekonanie, że przy najbliższej okazji zaśpiewamy starą żeglarską piosenkę:

Płyniemy znów na długi rejs,
Zniknął już w oddali brzeg
I trzeba z losem w karty o swą duszę grać.
Powieje dla nas dobry wiatr,
Przed nami znów szeroki świat...

KAZIMIERZ ROBAK

OD REDAKCJI: Na tym kończymy cykl relacji z rejsu „Pogorii". Część z nich otrzymaliśmy za pomocą radiostacji bezpośrednio z pokładu jachtu. Mamy jednak nadzieję, że Kazimierz Robak chętnie wracać będzie do wspomnień z wyprawy i opowie nam o zdarzeniach, dla których zabrakło miejsca w relacji. Przygód jest sporo i są naprawdę interesujące – będziemy więc z niecierpliwością czekać na ciąg dalszy opowieści z pasjonującej wyprawy „Pogorii".

Elektrownie wietrzne za kołem polarnym

ZSRR (PAP). Wybrzeże Arktyki zwane jest czasami krainą wiatrów. Ich siłę postanowili wykorzystać specjaliści z Peczorskiego Kombinatu Przetwórstwa Ryb. Pierwszy wiatrogenerator zbudowano w punkcie odbioru ryb w Faricha. Instalacja wietrzna jest niewielka, a pozwala zaoszczędzić rocznie 7 ton paliwa. Warto pamiętać, że dostarczanie paliwa za koło podbiegunowe jest znacznie utrudnione. **(kż)**

Jarosław Patrzałek porusza dziś niezwykle istotny problem, mianowicie tendencję do militaryzacji przestrzeni okołoziemskiej. Sprawa ta pojawiła się na łamach czasopism niemal równocześnie z udanym startem amerykańskiego promu kosmicznego „Columbia". Rzeczywiście, nie ma co ukrywać, nowy typ pojazdu może być już wstępem do większego programu wojskowego. Nie jest też tajemnicą, że Pentagon w znacznym stopniu wspierał finansowo NASA w budowie promów. Nie za darmo, oczywiście. W ten sposób, wojskowi zagwarantowali sobie loty promowe dla własnych celów. Zgadzam się więc z Jarkiem, że zamierzenia te muszą budzić niepokój i obawę przed umieszczeniem w kosmosie broni masowej zagłady.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

ZAGROŻENIE Z KOSMOSU

Chciałbym poruszyć jeden z wielu drażliwych problemów XX wieku. Chodzi mianowicie o militaryzację kosmosu. Sprawa ta nabrała wagi dopiero po starcie promu kosmicznego „Columbia".

Rzecznik Pentagonu stwierdził (mimo iż podpisano akt o dezatomizacji przestrzeni okołoziemskiej), że wahadłowiec a także jego późniejsze, udoskonalone wersje, może przenosić na swym pokładzie ładunki nuklearne. Byłaby to bronią tym niebezpieczniejsza, bo bomby można by zrzucać na dowolny punkt na Ziemi, a ostrzał z powierzchni byłby praktycznie niemożliwy.

Drugi projekt to rozmieszczenie wokół rodzinnej planety stacji kosmicznych wyposażonych w lasery (przeważnie chemiczne), aparaturę do niszczenia satelitów i rakiety z głowicami atomowymi. Wysunięto nawet tezę, która głosi, że gdyby jakieś państwo wystrzeliło dwadzieścia takich stacji, mogłoby odmówić innemu krajowi eksploatowania kosmosu. Inna wersja tego projektu, to umieszczenie laserów na szczytach gór.

Jeden z generałów amerykańskich stwierdził, że USA mogłyby zbudować małe statki kosmiczne do działań bojowych w przestrzeni międzyplanetarnej. Powiedział on również, że Stany Zjednoczone do 2000 roku dysponowałyby flotyllą dwudziestu takiego rodzaju pojazdów.

Znany jest również plan o skonstruowaniu specjalnych satelitów uzbrojonych w ogromne lustra. Zwierciadła odbijałyby promieniowanie świetlne Słońca i oświetlałyby tereny działań wojennych oraz wzniecałyby pożary na obszarze nieprzyjaciela.

Są to okrutne zamierzenia godzące w prawa człowieka i pokój na świecie. Ludzie nie mogą być niepewni jutra. Miejmy nadzieję, że te projekty nie zostaną zrealizowane.

Jarosław Patrzałek

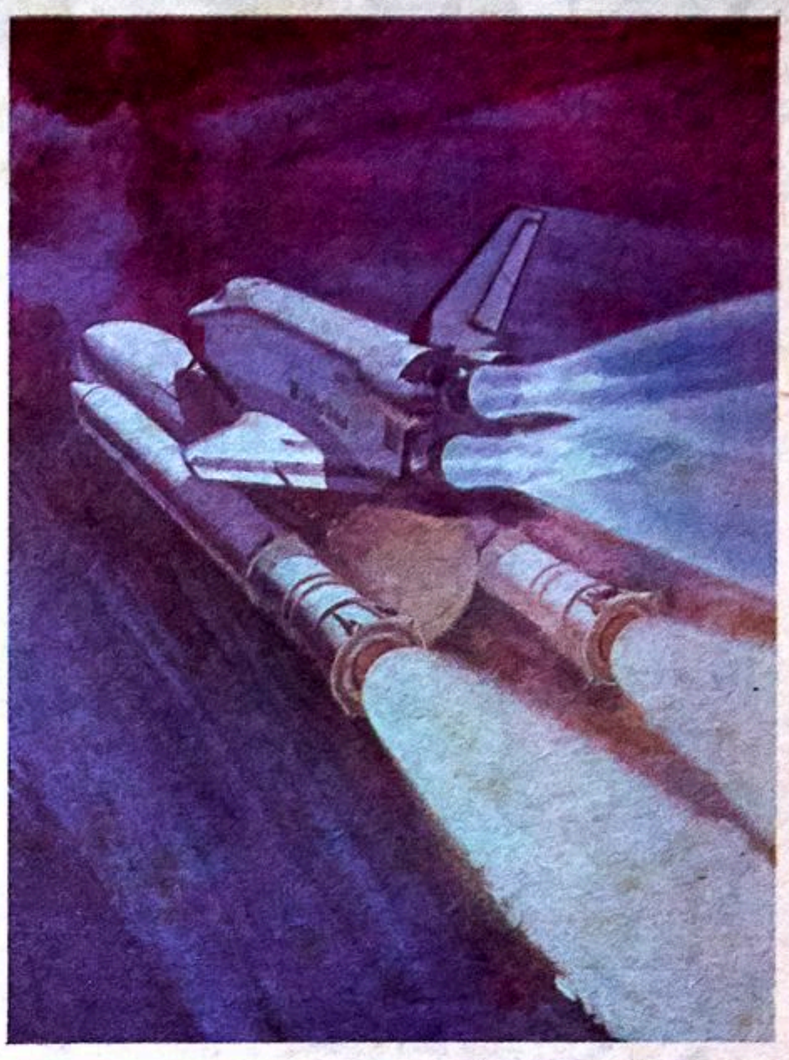

PLUTON – BYŁY KSIĘŻYC NEPTUNA?

Licząca sobie już sporo lat hipoteza, że Pluton jest byłym satelitą Neptuna, oparta jest na dwóch zasadniczych faktach obserwacyjnych: osobliwościach cechujących neptunowe księżyce Trytona i Nereidę, oraz znanym spłaszczeniu orbity Plutona, pozwalającym mu co pewien czas wchodzić w wewnętrzny obszar orbity Neptuna. Analizę możliwości rozpadu hipotetycznego systemu księżyców Neptuna, spowodowanego bliskim przejściem ciała o masie od 0,3 do 3 mas ziemskich przeprowadził niedawno R.S. Harrington ze współpracownikami. Za układ przejściowy przyjęto regularny układ księżyców o znikomo małej masie i okresach obiegu wokół Neptuna równych 2, 4, 8 i 16 dób. Modelowanie prowadzono zmieniając warunki przejścia perturbującego ciała oraz jego masę. Okazało się, że jeżeli jest ona mniejsza od masy Ziemi, wtedy prawdopodobieństwo rozpadu systemu księżyców Neptuna jest bardzo małe. Ciało o masie 3 mas ziemskich mogło wyrzucić jeden z księżyców na orbitę heliocentryczną z prawdopodobieństwem około 2 procent. Szanse wyrzucenia księżyca Neptuna na orbitę podobną do plutonowej oceniono na pół procenta.

Osobno rozpatrzono przypadek równoczesnego, wywołanego tym samym przelotem masywnego ciała, wyrzucenia Plutona, odwrócenie rotacji Trytona i silnego spłaszczenia orbity Nereidy.

Najbardziej problematyczną kwestią w całym scenariuszu jest pojawienie się i dalszy los masywnego ciała, odpowiadającego być może, za obecny kształt peryferyjnych planet Układu Słonecznego. Zakładając pełny synchronizm systemu Pluton-Charon (równość okresu rotacji każdego z tych ciał równemu okresowi jego obiegu wokół wspólnego barycentrum), przeanalizowano niedawno historyczną ewolucję układu. Z pracy wynika między innymi, że Pluton i Charon mogły powstać w rezultacie rozpadu ciała, które było w swoim czasie satelitą Neptuna.

Andrzej Kopeć,

Japonia w kosmosie

Początki sięgają roku 1955, kiedy to w Instytucie Wiedzy Przemysłowej, należącej do Uniwersytetu Tokijskiego kilkuosobowa grupa badaczy pod kierunkiem profesora Itokawa rozpoczyna eksperymenty rakietowe. Pierwsze japońskie rakiety nosiły nazwę „ołówek". Nazwa w pełni uzasadniona, jeśli wziąć pod uwagę wymiary tych rakietek, które były mierzone w centymetrach. Koszt jednej rakietki nie przekraczał 7 dolarów. Wystrzelono aż 150 tych rakietek. W trakcie tych odstrzałów przeprowadzono szereg badań. Dzięki pracy wielkiego przemysłu prace eksperymentalne grupy prof. Itokawa szybko posuwają się naprzód. Po dwóch latach niepozorne „ołówki" przekształcają się w rakiety przystosowane do bardziej śmiałych eksperymentów i do badań górnych warstw atmosfery. W roku 1958 japońska rakieta „Kappa-6" osiąga w locie próbnym wysokość 50 km. W trzy lata później „Kappa-9" osiąga pułap 350 km. Rok 1963, „Kappa-9 M" wynosi zasobnik z aparaturą o masie 55 kg na wysokość 350 km i w 1964 „Lambda-3" wynosi zasobnik z aparaturą na wysokość ponad 1000 km.

W tym czasie rozwojem techniki kosmicznej interesuje się w sposób aktywny 30 czołowych koncernów przemysłowych Japonii. Na Uniwersytecie Tokijskim powstaje zalążek Instytutu Aero – i Kosmonautyki. Prace w skali krajowej koordynuje Narodowy Ośrodek Rozwoju Badań Kosmicznych. Do jego dyspozycji stoi niewielki kosmodrom Kagoshima na wyspie Kiusziu przeznaczony dla rakiet typu „Kappa", „Lambda", a później rakiet z serii „M". Kosmodrom zajmuje górzysty teren. W miejscu położonym najwyżej zlokalizowano ośrodek śledzenia i kontroli lotów. W latach 60-tych już nikt nie wątpi w to, że Japonia stara się o miejsce w kosmicznym klubie. Do początku roku 1967 ogólne koszty japońskiego programu kosmicznego nie przekroczyły sumy 30 mln dolarów. Zaskakujące jest to, że za taką małą cenę tyle zrobiono.

Prace koncentrują się wokół rakiety „Lambda", napędzanej, podobnie jak jej poprzedniczki, paliwem stałym. Wykonana w wersji 4-stopniowej, otrzymuje powoli postać nośnej rakiety satelitarnej. Pierwsze próby wprowadzenia satelity „Made in Japan" nie udają się, rakieta nośna zawiodła. Komentatorzy piszą wręcz o impasie, w jakim znalazły się prace prowadzone na kosmodromie Kagoshima. Oszczędność jakoby nie popłacała. Z wolnych źródeł wynika, że Japonia zwróciła się do Stanów Zjednoczonych o pomoc naukowo-techniczną, jednak Stany Zjednoczone odmówiły tej pomocy. Japonia się nie poddaje, powstaje nowa udoskonalona wersja rakiety nośnej „Lambda-4S": długość 16 metrów, ciężar startowy 9,4 tony. To ona właśnie wprowadziła na orbitę satelitę „Made in Japan". Ciężar sztucznego satelity wynosił 24 kg. Było to w roku 1970.

Po rakietach „Kappa" i „Lambda" przychodzi kolej na rakiety z serii „M" (Mi), które zaczęto używać od roku 1971. Pierwsze rakiety „M" wynosiły na niską orbitę Ziemi ładunki do 70 kg. A wersja rakiety „M"-3S" z roku 1980 jest zdolna wysłać ładunek nawet do 300 kg. Pierwszy start (z kosmodromu Kagoshima) tej rakiety wyniósł satelitę „Tansei"-4". Było to w dniu 17.II.1980 r. Rakiety z tej serii wykorzystują stałe materiały pędne. Od roku 1976 zaczęto używać większych rakiet z serii „N" (Ni). Obie rakiety przechodziły ewolucje. W rakietach „N" stosuje się materiały pędne w składzie: czterotlenek azotu i aerozynę 50. Nadają się one do umieszczenia satelitów nawet na orbitach geostacjonarnych – a startują z kosmodromu Tancgashima.

W roku 1985 ma się oddać do eksploatacji rakiety typu „H", będą one wykorzystywały ciekły tlen oraz wodór. Dotychczas w Japonii wysłano 20 sztucznych satelitów, tylko 3 z nich zostały wysłane przy użyciu amerykańskiej rakiety „Delta". W ciągu 5 lat z Japonii wystartuje 15 dalszych satelitów. W tym jeden próbnik do badania komety Halleya. Wszystko wskazuje na to, że Japonia umocni swoją dotychczasową pozycję w badaniu kosmosu.

Do kosmicznego klubu należy 7 państw: ZSRR, USA, Francja, Japonia, Anglia, ChRL i Indie, a szanse ma także RFN.

Jan Wójtowicz

PS. Wiadomości zaczerpnąłem ze „Skrzydlatej Polski", „Astronautyki" i innych.

Kid wpatruje się w guzik jego munduru.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta metalicznym głosem.

Szyper staje o krok od niego. Ma surowe, zaostrzone rysy twarzy.

– Byłeś głodny?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Kolega był głodny?

Znów przeczy.

– Więc po co?

Wzrusza ramionami.

– Gdzie to masz?

– W komorze kotwicznej, proszę pana – odpowiada nienaturalnie grubym głosem Kid i patrzy dla odmiany na rękaw Stevensa.

– Wczoraj byłeś strzelcem. Od dziś już nim nie jesteś. Nie zejdzesz na lód, będziesz wyrzucał popiół. Kok otrzyma polecenie wydawania ci podwójnych porcji. Możesz odejść.

Kid wychodzi spocony, ale z uczuciem ulgi.

Gdy stoi oparty o reling, z zadumy wyrywa go łoskot silników samolotowych.

Samolot przelatuje na niskiej wysokości. Zawodzenie jego silników cichnie szyko, aż zupełnie zanika.

– Amerykanin – mówi stojący nie opodal łowca. – Podobno wypatruje fok.

Kid kiwa głową i odchodzi.

*** * ***

Według przewidywań – obiad był do niczego. Zupa – mętny kleik, bez smaku. Pieczyste przypominało podeszwy. Deser, ciągnął się i lepił jak guma do żucia. Nawet herbata miała smak ziółek leczniczych.

Fatty był zielony. Guffy umknął od okienka, przy którym wydawali porcje. Tego, co wysłuchali, wystarczyłoby na pułk rekrutów.

Fatty myślał o śmierci. Bardzo by chciał umrzeć w jakiś bohaterski sposób. Guffy natomiast postanowił prosić o przeniesienie do najgorszej roboty, byle tylko wyrwać się z kuchni.

W kubryku Jovinel wychylał trzecią butelkę wina. Wstrząsała nim czkawka, w trakcie której roztaczał przed wygłodzonymi łowcami kuszące możliwości kulinarnego kunsztu.

Zbiorowa petycja odniosła skutek. Udobruchany kok oświadczył, że przygotuje wieczerzę godną królewskiego dworu. Humor swój zawdzięczał zarówno paru butelkom wina, jak i wiadomość, że sprawca kradzieży sam się ujawnił, a większość zapasów spoczywa już w kambuzie.

Łowcy głowią się, kto był owym niegodziwcem. Jednak sprawa z woli szypra pozostaje spowita tajemnicą. Przy kolacji zdziwieni sąsiedzi Kida notują, że dyżurny messowy stawia przed nim podwójne porcje. Na grad pytań messowy odpowiada obojętnie:

– Polecenie szypra.

To daje do myślenia. Porcje są tak obfite, że zjeść je trudno. Niektórzy zaczynają się domyślać. Kid nie wytrzymuje spojrzeń i nie dojadając kolacji, wychodzi.

Tupot nóg i gwar podnieconych głosów przerywa kolację. Do messy wpada zaaferowany radiotelegrafista.

– S. O. S.! – krzyczy. Jakąś łajbę porządnie obrabia lód. Zdaje się, że naszą, ze Świętego Jana.

Wybiegają na pokład. Terkoczą bosmańskie gwizdki. Grupują się na śródokręciu.

– Chłopcy! – mówi Stevens. – O sto dwadzieścia mil od nas lody miażdżą Nowofundlandczyka. „Oris" nadaje S.O.S. Wiem, że na lodzie mamy siedem tysięcy przednich skór. Wiem, że łowisko jest obfite i każdy chce do domu. Całą naprzód idziemy na pomoc!

– Hura! – krzyczy załoga.

NA RATUNEK

„Northern Hunter" walczył z opornym lodem. Już osiem godzin uparcie dążył w kierunku katastrofy.

Trzy razy załoga opuszczała pokład. Łomami, piłami i siekierami torowała drogę. Dwa razy strzelano lody materiałem wybuchowym.

Allan, Jack oraz Kid stali na dziobie patrząc wzdłuż żółtych smug światła błyskających z reflektorów.

– Zepsułeś wszystko – mówi Allan do Kida. – Jesteś bydlę, rozumiesz? Teraz wszyscy patrzą na nas jak na trędowatych. Już słyszałem, że mówili o nas jako o mętach z poprawczaka. zrozum, baranie, że ci ludzie od urodzenia brzydzą się kradzieżą. Takich jak ty czy ja nigdy nie zrozumieją. Oni wolą zdechnąć z głodu niż ruszyć cudze.

– Och, odczep się, Allan. Dość się nasłuchałem twoich kazań – odcina się Kid.

– Za mało! Ciebie trzeba lać, i to do utraty przytomności.

Cdn.

KAJKO i KOKOSZ

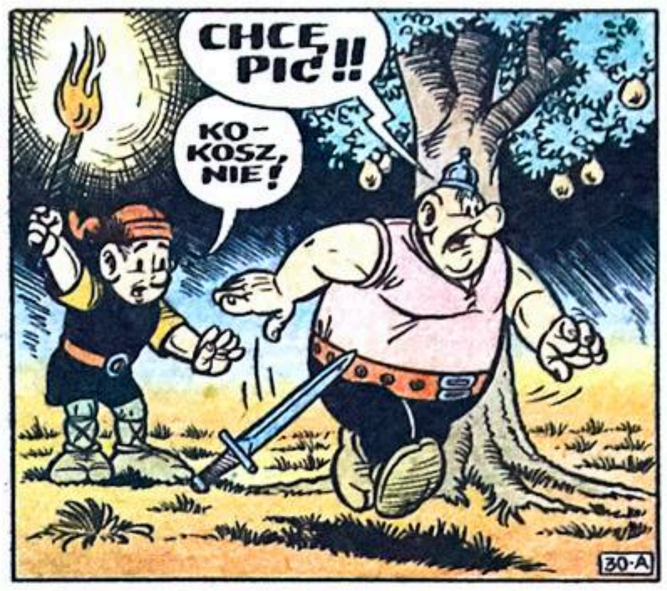

Thrista

30

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice tel. 53 77 33 telex 031556
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. naczel.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłon, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skorska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. naczel.)
TELEFONY
Red. naczelny 21 15 61
Sekr. redakcji 28 25 48
Dział Łączności z Czytelnikami 21 61 13
TELEX 81 36 58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA - RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28 09 73, Dział Wydawniczy 29 35 52
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045 139-11
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł
Opracowanie techniczne: Anna Dąbrowska
DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3671/G O-92

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

68

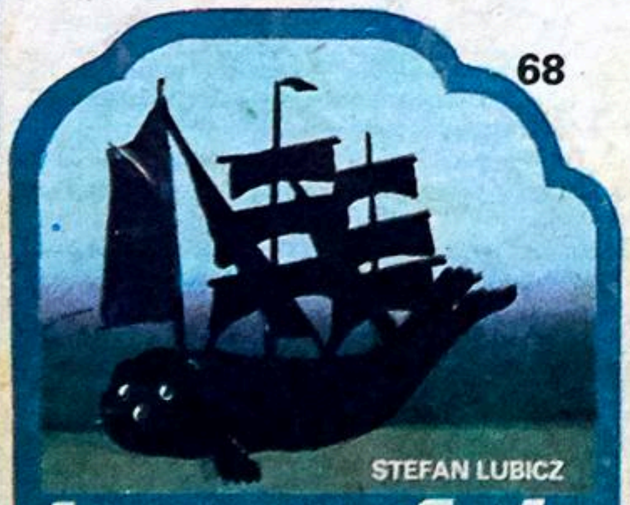

łowcy fok

Horn wychodzi z kwaśną miną. Nie w smak mu ta zabawa w złodziejolapa.

Kingsby zajrzał do kambuza i zapędził do roboty nieszczęśliwych pomocników Jovinela.

– Ruszać się, mazgaje! Oczy się wam tu pocą, a ludzie czekają na wieczerzę!

– Kiedy my nie potrafimy – jąka się Fatty, z przerażeniem patrząc na baterię garnków.

– To się nauczcie! Prędzej, do diabła! Inaczej ludzie obedrą was ze skóry i powieszą na rei. No! – pogroził palcem. – Niech tylko żarcie będzie do niczego, wyprawię wam taki bal, że do końca życia będziecie pamiętać – trzasnął drzwiami i poszedł.

Chlipiąc uwijają się po kambuzie. Wszystko leci im z rąk.

Jovinel leży na swojej koi. Ze złości wypróżnił butelkę wina.

„W nosie mam tych głodomorów – myśli, zobojętniały już zupełnie. – Utnę sobie drzemkę. Należy mi się!"

* * *

Niedziela. W ładowniach leży szesnaście tysięcy skór. Prawie siedem tysięcy zostało jeszcze na lodzie. Załoga z rozkoszą leniuchuje.

Kawa jest przypalona. Jovinel nadal strajkuje. Nie rusza się z koi. Nie pomagają perswazje. Sam szyper fatyguje się do kubryku. Bezowocnie.

Przed załogą ponura perspektywa nieudanego obiadu, i to w dodatku w niedzielę.

W drzwiach kambuza tłoczy się więc sztab doradców.

– Dodaj jeszcze szczyptę soli!

– Słonina się przypala!

– Coś śmierdzi, pewnie ta pieczeń!

– Dolejcie wody, zupa za gęsta!

– A cebulę daleś, frajerze?

– Ogień przygasa, podłóżcie pod piec!

Fatty i Guffy kręcą się jak frygi. Pot oblewa ich posępne twarze. Mają ochotę uciec i zaszyć się w najciemniejszy kąt.

Kid nadrabia miną, ale czuje się nieswojo. Z początku gwiżdże na wszystko, lecz koło południa zaczyna już unikać wzroku ludzi. Wydaje mu się, iż każdy wie, że to on jest sprawcą całego zamieszania.

Allana unika jak ognia. Ten wyczytałby prawdę z jego twarzy. Worek z puszkami leży w komorze kotwicznej. Nikomu nie przyjdzie na myśl tam szukać. Przypadkowe odkrycie też nie nastąpi tak szybko. Zresztą nie obciąży przecież nikogo. Sprawca pozostanie bezimienny.

Kid chodzi jak struty. Sposępniał. Próbuje sam sobie tłumaczyć, że to wszystko „pestka". Robił już przecież z chłopcami rzeczy, od których włosy stawały dęba. Cóż w porównaniu z tym znaczy parę głupich puszek?

Nie spodziewał się jednak takich skutków swego czynu. Na statku prysł spokój. Atmosfera jest nieprzyjemna, ludzie posądzają się nawzajem. Opierając się o reling długo patrzy w lody, po czym zdecydowanie puka do kabiny szypra.

Zaciska zęby. Wchodzi.

– Słucham was? – mówi Stevens patrząc na bladą twarz i płonące oczy Kida.

– To ja – mówi krótko chłopiec.

– Słucham? – pyta Stevens nie rozumiejąc, o co chodzi.

– To ja, proszę pana, wziąłem te puszki ze spiżarni.

Ręce Stevensa nieruchomieją na biurku. Patrzy na stojącego. Wzrok Kida utkwiony jest w tarczy chronometra.

Stevens milczy. Wstaje zza biurka i z rękoma założonymi do tyłu przechadza się po kabinie. Słychać tykanie zegara. Cisza staje się nieznośna. Kid stoi jak posąg, pomimo iż potrzeba ruchu jest tak uporczywa, że aż sprawia mu ból.

Dokończenie na str. 7